ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 8(33) • Sierpień 2008 • Cena 2,00 zł

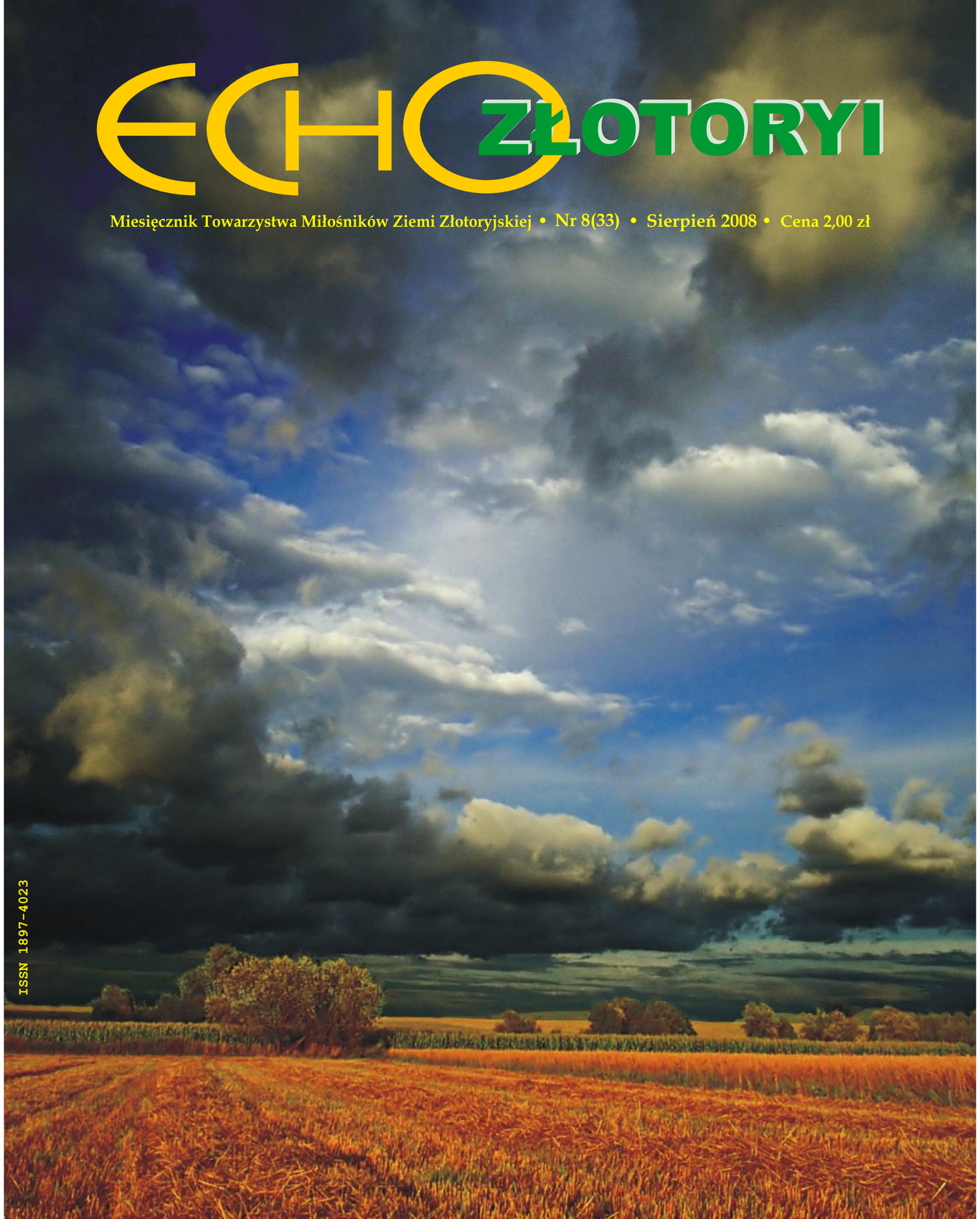

ISSN 1897-4023

Zostanę tu do końca

Dzień jest pochmurny, od czasu do czasu chmury jak czarna gąbka wyciskają krople deszczu, ludzie kryją się pod parasolami, omijając kałuże. Od rana nic mi się nie układa. Oczy od niskiego ciśnienia zamykają się same. Marzę o krótkiej drzemce. Noc jest od spania a dzień od działania –pomyślałam.

Trzeba się skutecznie obudzić. Postanowiłam wybrać się na umówione spotkanie. Państwo Centkiewiczowie witają mnie ciepłym uśmiechem, zapraszając do środka.

J.K.: Jak wspomina Pan czasy młodości?
W.C.: Opowiem jak to było na Wołyniu...
Wołyń, to kraina między górnym Bugiem, górną Prypecią i Słuczą; tam spędziłem młodość. Mój pradziad Franciszek Centkiewicz z zawodu był agronomem, mieszkał w okolicy Poczajowa (miasto na Ukrainie, obwód tarnopolski) Obszarnik werbowski (admirał floty czarnomorskiej), Dymitr Świecznikow mianował go administratorem swojego majątku sprowadzając go na Wołyń. Majątek obejmował kilkaset hektarów z zamczyskiem nad rzeką Ikwą włącznie. Można by go porównać do Niechcica z „Nocy i dni" M. Dąbrowskiej. Trzeba tu nadmienić, że posiadłość wcześniej należała do polskiego obszarnika, hrabiego Markiewicza, który za udział w powstaniu styczniowym został zesłany na Sybir, majątek skonfiskowano. „Wschodniacy" z Wołynia byli wyznania prawosławnego i katolickiego. Każdy katolik był ukształtowany przez wieki w polskości. Z dziada pradziada przekazywali swe tradycje, żaden z nich nie odszedł od wiary. Wokół było „morze Ukraińców", a oni mocno trzymali się polskości. Zdarzało się, że wżeniali się w prawosławne rodziny (syn po ojcu szedł do cerkwi, a córka po matce uczęszczała do kościoła). Car ostatecznie jednak swoim rozporządzeniem nakazał, aby dzieci z mieszanych związków chodziły do cerkwi, co wiązało się z przejściem na prawosławie. W zaborze rosyjskim olbrzymia ilość Polaków z Wołynia służyła w wojsku carskim. Mój ojciec był dragonem (przyp. red.: piechota używająca koni do przemarszu, w XVIII w. przekształcona w jazdę) i w 1914 r. dostał się do niewoli austriackiej pod Przemyślem.
W latach 20. XX wieku Piłsudski będąc u władzy, nadawał swoim legionistom ziemie, na których osiedlali się i zakładali osadnicze kolonie. Zdarzało się, że za wyjątkowe zasługi otrzymywali znaczne posiadłości. Rdzenni Polacy z osadnikami Piłsudskiego spotykali się sporadycznie na jarmarkach,w kościele.
Ojciec mój był zamożnym gospodarzem. Posiadaliśmy murowany dom (stoi do dzisiaj) i duży sad. Rodzinie dobrze się wiodło.
Podczas drugiej wojny nacjonaliści ukraińscy poczuli się władcami na Wołyniu. Zaczęły się podpalenia: spalili drewniany kościółek parafialny, który miał 300 lat. Niszczyli wszystko, mordowali ludność polską. W kłębach dymu, w strachu uciekliśmy do Dubna na Ukrainie. Sporo osadników Piłsudskiego zgromadziło się w szkole w Dubnie. Z jednej strony otaczali nas Ukraińcy, z drugiej Niemcy. Niemcy wychodzili z założenia, że każdy powinien pracować dla Trzeciej Rzeszy i wywozili nas na roboty przymusowe, kto się opierał, mógł wrócić, tylko gdzie? Wszyscy pojechaliśmy na roboty do niemieckich gospodarzy wierząc, że po skończeniu wojny wrócimy do siebie na Wołyń. Wichry wojny w 1946 zawiodły nas na Dolny Śląsk. Z żoną zamieszkaliśmy w Jeleniej Górze. W 1965 roku przeprowadziliśmy się do Złotoryi. Gdyby ktoś złożył mi propozycję powrotu do Jeleniej Góry, kilka lat wstecz nie wahałbym się. Ale teraz... miasteczko pięknieje. Znikły budy-komórki, zbędne złomowiska. Złotoryja to miasto zieleni, ma niespotykany układ starych kamieniczek, przydałoby się o wszystkie zadbać. Niewiele jest miast tej wielkości, mogących pochwalić się takimi zabytkami. Jednym słowem-miasteczko jest urokliwe. To miasto wybrałem i zostanę tu do końca. I tu też rozpoczęła się moja przygoda malarska.

Pan Władysław Centkiewicz od 38 lat maluje.

J.K.:Ktoś szlifował Pana talent malarski?
W.C.: To jest ciekawa historia. Mój tato miał zacięcie malarskie, przyjaźnił się z Ukraińcem Dymitrem. Dymitr kształcił się na Popa (odpowiednik księdza w obrządku prawosławnym). Każdy z nich musiał nauczyć się malarstwa, by potem malować Ikony. Dymitr nie miał z tym problemu, malował pięknie. Często gościł w naszym domu. Na stole kuchennym rozłożony był papier, przyjaciele dość często, trzymając w ręce ołówki, toczyli dysputy. Po każdorazowej biesiadzie po obu stronach stołu zostawały małe dzieła. Dymitr malował portrety, w tym wypadku ojca, a tato malował konie. Obrazy wycinaliśmy i chowaliśmy na pamiątkę. Ja byłem głównym widzem i słuchaczem. To byli moi nauczyciele. Dymitr zdradzał tajniki malarstwa.
Kolejną osobą był profesor Hyła, który studiował w Berlinie malarstwo. To bardzo uczona osoba. Wiele skorzystałem z jego mądrości. Przyjeżdżał do Klubu Plastyków Amatorów przy ZOK-u, gdzie spotkałem państwa Dylągów – pracowników Złotoryjskiego Domu Kultury. Za ich namową zacząłem wystawiać swoje prace w kraju i za granicą. W Ostrawie, Dreźnie, Leningradzie. Pod arkadami w Jeleniej Górze, w Złotoryi, Legnicy i we Wrocławiu. Ostatnia wystawa odbyła się we wrześniu 2007 w Miejskiej Bibliotece Publicznej pt. "Obszary tęsknoty".
Centkiewicz nie musi podpisywać swoich obrazów, zawsze rozpoznamy jego malarstwo - mówił Luksander i Trocki.

Dom, w którym mieszkają państwo Centkiewiczowie, jest pięknie położony wśród alei drzew, dodatkiem do tej zieleni są obrazy z bukietami kwiatów malowane ręką artysty. Wewnątrz domu obrazy wiszące na ścianach są niczym ogrody kwiatowe, z tą różnicą, że te nigdy nie przekwitają. Na jednym obrazie bzy mienią się różnymi barwami, biel, róż, fiolet ze swoimi odcieniami upięte są jakby w kokardę zielonych liści, gliniany brązowy wazon ukrywa łodygi. W tle brąz niczym peleryna otacza bukiet stojący dumnie na białym obrusie. Piękna złocona ramka z ukwieconym płótnem tworzy całość.

Drugi obraz to sielski, wiejski obraz pola w ciepłych barwach, jest ciepłe lato, dojrzałe pszeniczne kłosy chwytają słoneczne promienie, polna droga prowadzi oraczy do żniw. Zieleń i brąz miesza się z żółcią, a biel z błękitem .Każdy obraz upaja subtelną techniką, kolorytem, światłocień nadaje trójwymiarowości. Zadziwiające, co też talent i wrażliwość artysty potrafi wytworzyć.

J.K.: Kiedy na dobre pochłonęła Pana ta pasja?
W.C.: Żona wyjechała na rok do Stanów Zjednoczonych, zostawiając mnie prawie samego. Byłem już na emeryturze. Samotność i tęsknotę zabijałem malowaniem. Te bukiety kwiatowe wszystkie były dla niej. Wszystkiemu winna jest Wiesia (śmieje się). Po powrocie z zagranicy, za namową sąsiada – szlachetnego dr Andrzeja Wolańczyka, dyrektora szpitala złotoryjskiego, żona podjęła pracę tu, na miejscu, w administracji. Już nie musiałem być sam, ale malowałem dalej.

J.K.: Proszę zdradzić tajniki sztuki malarskiej.
W.C.: Zacząłem od akwareli, obrazy były zbyt subtelne, potrzebowałem wyrazistości. Taki efekt dają farby olejne. Obraz maluje się etapami: Gruntuje się płótno trzykrotnie, ściera pumeksem grudki, szkicuje ołówkiem wybrany temat, pociąga się emulsją, by ołówek się nie rozmazał, i w końcu nanosi się farbę. Każdy element poprawia się kilkakrotnie. Po wyschnięciu ponownie nanosi się olejną farbę.
Czasami fotografuję interesujący mnie obiekt jak Gierymscy, nanoszę szkic na płótno i powiększam do odpowiedniego rozmiaru. Moje obrazy są bardzo pracochłonne. Podglądałem studentów malujących w Galerii. Grubym pędzlem tworzą piękne obrazy. Mają nauczycieli (tego im zazdroszczę) poznają techniki i tajniki malarskie, ja musiałem do wszystkiego dochodzić sam.
Mam cały serwis pędzelków. To główne narzędzie w malarstwie. Jeden jest szczególny, pamiątkowy, zrobiony z włosia bobra w 60. latach XX wieku. Używam go do werniksu. (Werniks [fr. < łac.], przezroczysta, gł. żywiczna substancja stosowana w malarstwie i grafice.) Bardzo dobrze maluje. Po pracy pędzel musi być dokładnie umyty i odpowiednio ukształtowany.

J.K.:Proszę w jednym zdaniu opisać swe malarstwo.
W.C.: Staram się w swoim malarstwie znaleźć tematy, które w człowieku dotykają tego, co w nim najlepsze i uwrażliwiają na otaczające nas piękno. Moja żona zawsze zachęcała mnie do pracy malarskiej. Szczerze chwaliła moją twórczość.

Żona:
Najchętniej nie oddałabym żadnego, nie dlatego, że jestem chytra, ja kocham wszystkie obrazy namalowane przez męża. To jakby część nas samych, nasze wspomnienia. Proszę zobaczyć ten obraz ze słonecznikami, ja uwielbiam kwiaty, one śmieją się do mnie, całą swą ekspresją pokazują swe piękno. Nic dziwnego, że malował je sam Vincent Van Gogh

J.K.: Gdyby była Galeria w Złotoryi, sprzedawałby Pan obrazy?
W.C.: Prawie cała rodzina ma moje obrazy. Mój syn w Warszawie nie ma już miejsca na ścianie, wszystkie zawieszone są obrazami. Obrazy nie sprzedają się teraz, ludzie nie mają pieniędzy, sama rama jest droga, blejtram jest drogi...Prowadzę wspominki z mojej pracy malarskiej. Namalowałam około 300 obrazów. Tylko kilka sprzedałem.

J.K.:*Czy któreś z dzieci odziedziczyło pańskie zdolności?*
*W.C.:*Nie,chyba nie.

J.K.:Co Pan robi w wolnych chwilach kiedy Pan nie maluje?
W.C.: Z żoną jeździmy na wycieczki naszym autkiem, odwiedzamy galerię w Jeleniej Górze, w Legnicy. Nasz dom odwiedzają przyjaciele. Kiedyś czytałem, teraz maluję. Nie mam czasu na czytanie, chociaż mam świetne pozycje (pan Władysław pokazuje zbiory domowej biblioteki-historyczne książki). Lubię mieć książki, teraz jestem bardziej bibliofilem. Uzbierał się spory bagaż doświadczeń, mam już 83 lata, ale dokąd będę mógł, dotąd będę malował. To jest moja pasja.

Rozmawiała Jana Kałuża

ECHO ZŁOTORYI **Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej**
Adres redakcji: Złotoryja, u.l Szkolna 1 (Dom Nauczyciela "Bacalarus" - poddasze), tel.: 076 8788137, Adres internetowy: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl
W pracach redakcyjnych uczestniczyli: Anna Chrzanowska (sekr. redakcji), Roman Gorzkowski, Jana Kałuża, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Robert Pawłowski (red. naczelny), Jolanta Zarębska (korekta). Zdjęcie na okładce: Łukasz Rycąbel - okolice Proboszczowa tuż po burzy.

Z Kopacza do Pielgrzymki

Drogą św. Jakuba

W 2006 r. przez Ziemię Złotoryjską wytyczono Drogę św. Jakuba. TMZZ opiekuje się jej odcinkiem od Krotoszyc do Pielgrzymki. Chcielibyśmy w przyszłości ustawić wzdłuż szlaku kamienie z wyrzeźbionymi muszlami, zwłaszcza w tych miejscach, gdzie trudno znaki przykleić lub namalować.

Staramy się pamiętać nie tylko o oznakowaniu. Latem ubiegłego roku podjęliśmy pomysł corocznego organizowania grupowego przejścia różnymi odcinkami „naszej" Drogi tuż przed 25. lipca, gdy przypada święto Patrona Drogi. Co do potrzeby jej swoistego ożywienia oraz przybliżenia postaci Świętego nie mieliśmy wątpliwości. Drogą św. Jakuba wędrują zazwyczaj najwyżej kilkuosobowe grupy lub samotni pielgrzymi. Jakubowe pielgrzymowanie nie jest więc podobne np. do sierpniowego nawiedzania Jasnej Góry. Dowiedzieliśmy się jednak, że od 2005 r. większa grupa pątników pokonuje rokrocznie Drogę św. Jakuba od Głogowa do Jakubowa.

O I Złotoryjskiej Pielgrzymce Drogą św. Jakuba w dniu 20. lipca informowały ogłoszenia parafialne, anonsy prasowe oraz portale internetowe. Imiennie zaprosiliśmy tych złotoryjan, którzy z pielgrzymką organizowaną przez parafię NNMP autokarowo odwiedzili Santiago de Compostela w ubiegłych latach. Oczekiwaliśmy naszych przyjaciół z Jeleniej Góry, którzy nie tylko wytyczali śląską Drogę ale pieszo przemierzyli ją w Hiszpanii. Na pytania, na ile nasza wędrówka będzie miała charakter religijny, nie potrafiliśmy do końca odpowiedzieć. Z powodu urlopów i licznych obowiązków, nie mogliśmy raczej liczyć na obecność kapłanów.

Wyruszyliśmy z kościoła św. Józefa Robotnika na Kopaczu. Ta najmłodsza z naszych świątyń, ciągle w budowie, zarazem kościół parafialny od 2007 r., leży przy Drodze św. Jakuba. Dzięki zaangażowaniu księdza proboszcza Krzysztofa Czyża oraz coraz liczniejszych parafian budowa nabiera tempa. Dla piszącego te słowa msze święte w takiej surowej świątyni ciągle mają niepowtarzalny charakter. Da Bóg, że parafia św. Józefa zdąży z finałem budowy na rok 2011. Wszak górnicza osada kopaczy złota założona tutaj przed 800 laty zapoczątkowała powstanie Złotoryi. Gdy podczas nabożeństwa celebrans wspomniał o wyruszających pielgrzymach, nie wiedzieliśmy jeszcze, jak liczna jest nasza grupa. Okazało się, że przybyło 25 osób, w tym weterani hiszpańskiej Camino, czyli Drogi św. Jakuba.

Z Kopacza szliśmy zarazem Ścieżką św. Jadwigi, przystając przy jej stacjach – kamieniach pojednania. Te dwie pielgrzymkowe a jednocześnie medytacyjne trasy biegną między innymi wzdłuż złotoryjskiego cmentarza – tu wstąpić warto do kościoła św. Mikołaja. Ścieżka św. Jadwigi kończy się (lub zaczyna) przy kościele św. Jadwigi, dalej Źródło, zwane również Źródełkiem św. Jadwigi. Za zakładem poprawczym Camino skręca w kierunku leśniczówki, aby następnie, częściowo lasem, potem wzdłuż nieczynnego połączenia kolejowego do Lwówka, oraz polami, wyprowadzić nas na polną drogę biegnącą równolegle do Jerzmanic. Jeszcze w lesie marzyliśmy o potrzebie urządzenia na trwałe gdzieś przy rozwidleniu ścieżek miejsca odpoczynku. Jego brak w jakimś stopniu wynagrodziła wkrótce piękna panorama Wilkołaka (Wilczej Góry) i jego okolic.. Lecz trzeba wtedy odwrócić się, przecież Droga biegnie tylko w jednym kierunku, na zachód.. Ma się tutaj wrażenie, że mimo przejścia już paru ładnych kilometrów nasze miasto jest ciągle tak blisko. Na wysokości muru otaczającego resztki pałacowego parku w Jerzmanicach Zdroju, można na pewien czas „porzucić" Drogę, wejść do wsi i kościoła św. Antoniego. Na co dzień pozostaje jednak zamknięty. Znający tutejsze ścieżki wiedzą, że spod kościoła można podejść w górę wsi i stąd, ścieżką obok firmy „Oponex", wrócić na Drogę św. Jakuba.

My jednak szliśmy nią cały czas, radując się, że tak malownicze są okolice Złotoryi i Jerzmanic Zdroju.

Powyżej wsi wyrosły dość nieoczekiwanie kolejne panoramy, już okolic Pielgrzymki oraz Twardocic. Tak się składa, że Jakubowy pielgrzym musi nieco uważać na odcinku Drogi powyżej Jerzmanic, ponieważ są miejsca i skrzyżowania, gdzie nie można umieścić znaków z muszlą. Trzeba pamiętać, aby iść tutaj szerszą drogą w lewo, orientując się na Kamienną Górę i schodząc zarazem w dolinę, którą biegnie wspomniany tor kolejowy. Na szczęście na mapach turystycznych(np. na omawianej w tym numerze) opisywana ścieżka jest wyraźnie zaznaczona. Po przekroczeniu dawnego wiaduktu kolejowego i minięciu resztek zabudowań kamieniołomu a konkretnie urządzeń załadowczych, znaleźliśmy się na bitej drodze, schodzącej do Pielgrzymki. Wkrótce dojrzeliśmy wieżę kościoła św. Jana Nepomucena i okazały budynek szkoły. Na horyzoncie widać górujący nad Twardocicami Świątek. Te ostatnie miejsca zachęcały niektórych z nas do dalszej wędrówki Drogą, która prowadzi przez Twardocice i Pieszków do Lwówka. Po drodze „zasięgaliśmy języka" u najbardziej doświadczonych Jakubowych pielgrzymów, pytając o hiszpańskie trasy – niektórzy złotoryjanie są coraz bliżsi podjęcia takiego wyzwania.

Kościół św. Jana Nepomucena w Pielgrzymce najprawdopodobniej nosił wcześniej właśnie wezwanie św. Jakuba. Tutaj więc zakończyliśmy naszą pielgrzymkę, wracając do Złotoryi indywidualnie umówionymi samochodami lub busem. Wcześniej jednak spotkała nas miła niespodzianka. Zostaliśmy zaproszeni w gościnę, umiloną świetnym domowym ciastem oraz orzeźwiającymi napojami (panowała upalna pogoda) przez Stanisława i Annę Banasiewiczów, którzy swoimi sposobami dowiedzieli się o naszym przedsięwzięciu. Co ważniejsze, podjęli się oni nawet udostępnić swój dom niedaleko kościoła jako miejsce noclegu dla kolejnych pielgrzymów, wędrujących Camino.

Teraz pora przemyśleć, na ile udało nam się spełnić nadzieje pokładane w Złotoryjskiej Pielgrzymce Drogą św. Jakuba, być może zmodyfikować jej charakter. Lecz z pewnością spotkamy się za rok!

Roman Gorzkowski

Gdzie niebo dotyka ziemi

Z siostrą Aleksją (Ewą Skuchą), misjonarką ze Zgromadzenia Sióstr Służebniczek Najświętszej Maryi Panny Niepokalanie Poczętej – Śląskich – pochodzącą ze Złotoryi, od 21 lat pracującą w Kamerunie Północnym, rozmawia Teresa Kopczak.

Jaka była droga siostry do zakonu?

Będąc małą dziewczynką przeczytałam książkę „Chata wuja Toma". Lektura wywarła na mnie ogromne wrażenie. W pewnym momencie mojego życia usłyszałam powołanie, aby być misjonarką. Było to po drugiej klasie liceum ogólnokształcącego. Uczestniczyłam w oazie dla dziewcząt prowadzonej przez Siostry Służebniczki Śląskie. Marzyłam o pracy z dziećmi, młodzieżą i chorymi. Zawsze interesowałam się pracą na misjach, drażniła mnie dyskryminacja rasowa. Po maturze wstąpiłam do Zgromadzenia Sióstr Służebniczek Najświętszej Maryi Panny Niepokalanego Poczęcia – gałąź Śląska w Katowicach. Aby być misjonarzem, trzeba się do tego przygotować, z tym wiąże się także przygotowanie praktyczne. Decyzja o wyjeździe była dobrowolna, kraju nie mogłam wybrać, bo nasze zgromadzenie nie jest zgromadzeniem misyjnym. Posiada tylko trzy placówki w Kamerunie Północnym.

Pierwszy kontakt z Afryką, pierwsze wrażenie z Kamerunu?

Kamerun leży w Afryce Równikowej. W XIX wieku był kolonią niemiecką. Po pierwszej wojnie światowej nastąpił podział między Francję i Wielką Brytanię. W styczniu 1960 roku uzyskał niepodległość. Dzieli się na północny i południowy. Afryka to różnorodność kultur i ras. Co kilkadziesiąt kilometrów inny świat – krajobraz, język. Ojciec Święty Jan Paweł II nazwał Kamerun Afryką w miniaturze. Północ kraju pokrywa sawanna, klimat jest bardzo gorący (38-42°C). Po sawannach wędrują słonie, lwy, żyrafy, pantery, są tam szakale, sępy, hipopotamy. Mało terenów górzystych, mało rzek. Występują tu tylko dwie pory roku. – deszczowa i sucha. Mało drzew, tylko baobaby i akacje (cały czas zielone) ulubiony pokarm żyraf. Piękne są wschody i zachody słońca. Wieczorem można zaobserwować piękny wschód księżyca, który podnosi się jak wielka kula. Wydaje się, że niebo usiane gwiazdami dotyka ziemi. Słońce zachodzi o godzinie 18, robi się zupełnie ciemno. Wschodzi o 6 rano. Na tych terenach znajdują się wielkie rezerwaty zwierząt, które są pod ochroną, i parki narodowe. Południe jest bardziej rozwinięte ze względu na dostęp do oceanu. Pierwsi misjonarze dotarli do tego kraju właśnie drogą morską. Jest to kraj rolniczy.

Jakie jest miejsce misjonarza wśród ludności tubylczej?

Relacje między misjonarzami a ludnością tubylczą są dobre. Ludzie są tu otwarci, szczerzy, gościnni, cieszą się tym, co mają, nie gromadzą bogactw. Uprawiają bawełnę, mil (roślina podobna do prosa), kukurydzę, orzeszki ziemne, ananasy, hodują kozy, owce. Nie bardzo lubią pracować (wysoka temperatura), mężczyźni potrafią leżeć w cieniu przez cały dzień. Mieszkają w murowanych domkach z pustaków lub w okrągłych lepiankach zwanych kaza, krytych blachą lub słoma z prosa. W pięknych domach mieszkają bogaci, którymi są przeważnie muzułmanie.

Do jakiej miejscowości trafiła siostra?

Po przygotowaniu misyjnym i językowym skierowano mnie na centralną misję – parafię Matki Bożej w Fignil. Tam pracowałam 20 lat. Jest to miasteczko liczące ok. 18 tys. mieszkańców. Postało tu liceum ogólnokształcące, technikum zawodowe, kilka szkół podstawowych, ośrodek zdrowia. W ostatnim czasie otwarto szpital z apteką. W centrum jest duże targowisko, obok przystanek autobusowy, z którego można dojechać bezpośrednio do trzech głównych miast Północnego Kamerunu. Tu pracowałam z dziećmi i młodzieżą. Część z nich pochodzi z tego miasta, większość z wiosek, mieszkają na stancji. Ze swoimi problemami przychodzą często do nas. Opiekujemy się także chorymi, rodzice często odtrącają chore dzieci. Celem naszym jest wychowanie dzieci i młodzieży, przygotowanie dziewcząt do roli matki, opieka nad starcami, katechizacja. Prowadzimy też różne grupy wspólnotowe: „Kobiety Miłosierdzia" (wyszukują w swoich wioskach ludzi potrzebujących pomocy i opiekują się nimi), grupy „żywego różańca", „Cop Monde" (organizacja dla dzieci, spotkania raz w miesiącu), „Grupa dzielenia się Ewangelią" (dla młodzieży), „JEC" (grupa młodzieży starszej), i MEG (grupa liturgiczna młodzieży). Prowadziłam tu także dwuoddziałowe przedszkole, w liceum miałam 2 godziny katechezy tygodniowo. Przygotowywałam także dzieci do Pierwszej Komunii św. i młodzież do sakramentu małżeństwa. Oprócz nas w Kamerunie pracują liczne zgromadzenia żeńskie i męskie, np. Ojcowie Oblaci.

Od roku pracuje siostra w Ngoundéré

Jest to duże miasto prowincjonalne, jedno z trzech dużych miast na północy Kamerunu, liczy około 170 tys. mieszkańców. Położone jest na wzniesieniach powulkanicznych (ok. 1200 m n.p.m.). Zabudowania są różne, domki i pałace. Żyją tu różne grupy etniczne, klimat jest łagodny. Mieszkańcy są zróżnicowani religijnie – chrześcijanie, muzułmanie, poganie. Prowadzimy tutaj katechezy na różnych poziomach, przygotowujemy do sakramentów. Dojeżdżamy do szkół – przed południem do podstawowych, po południu do liceum. Prowadzimy wszystkie formy kształcenia katechetów. O godzinie 16 odbywa się adoracja Najświętszego Sakramentu. Na nabożeństwa przychodzi bardzo dużo osób, nawet poganie. Są bardzo radośni, podczas Eucharystii tańczą, śpiewają, grają na tam-tamach i piszczałkach, słowo Boże żyje w nich. Chrzty dorosłych odbywają się na Wielkanoc. Do kościoła mają często bardzo daleko, tam, gdzie w wioskach jest więcej chrześcijan, budujemy kaplice, zakładamy szkoły, prowizoryczne ośrodki zdrowia, w środku wioski budujemy studnie.

Czy Kameruńczycy wiedzą coś o Polsce?

Polskę kojarzą z Ojcem Świętym Janem Pawłem II, który był w Kamerunie Południowym dwa razy. Było to wielkie wydarzenie dla chrześcijan, muzułmanów i pogan. Często pielgrzymowali przez tydzień, aby się z nim spotkać. Bardzo go kochają i szanują – nawet muzułmanie, bo był bardzo tolerancyjny, otwarty na każdego człowieka.

Bariery językowe?

Kamerun to jedyny kraj w Afryce, w którym obowiązują dwa języki urzędowe – francuski i angielski. Oprócz tego około 220 języków etnicznych. Myślano o tym, żeby wprowadzić język kameruński w całym kraju, ale się nie udało (jest tutaj około 200 plemion). Często nie możemy się porozumieć, szczególnie w wioskach. Kierujemy się sercem, często porozumiewamy się poprzez śpiew, modlitwę.

Czy siostra przyzwyczaiła się do warunków w tym egzotycznym kraju?

Oczywiście, przez tyle lat przyzwyczaiłam się do klimatu. Trochę utrudniają nam życie mgły piaskowe z pustyni, które trwają do miesiąca. Piasek wdziera się do mieszkań, ubrań, posiłków. Często jesteśmy narażone na niebezpieczeństwa, uczymy się trudnych języków, by ewangelizować, uczyć wartości chrześcijańskich, ale Opatrzność Boska nas nie opuszcza.

Dziękuję za rozmowę i życzę, by praca na kameruńskiej ziemi zrodziła wspaniałe owoce.

Rozmawiał Teresa Kopczak

Pokonkursie

Natalia Puchalska z Gimnazjum w Pielgrzymce: wyróżnienie w konkursie "Złotoryja i powiat złotoryjski jako atrakcja turystyczna"

Sala Królestwa Świadków Jehowy ul. Kolejowa

Skąd się właściwie wzięła religia Świadków Jehowy??
Początek religii datuje się na lata siedemdziesiąte XIX wieku, gdy Charles Taze Russel ze stanu Pensylwania w USA wraz z grupą przyjaciół rozpoczął staranne studium Biblii.
Szeroko rozgłaszali te prawdy poprzez wykłady i słowo drukowane. W 1879 r. zaczęli wydawać czasopismo *Strażnica*, a finansowanie działalności kaznodziejskiej Badaczy Pisma Świętego miało się odtąd opierać wyłącznie na dobrowolnych datkach. W 1931 roku Badacze Pisma Świętego przyjęli nazwę **Świadkowie Jehowy**. W 1943 roku założono Gilead – Biblijną Szkołę Strażnicy, aby szkolić sługi do zagranicznej służby misjonarskiej i kaznodziejskiej. Nad kwestiami religijnymi czuwa Ciało Kierownicze Świadków Jehowy, któremu podlega 6 komitetów regionalnych, nadzorujących biura oddziałów z komitetami oddziałów na czele. Oddziały dzielą się na okręgi, które dzielą się z kolei na obwody. W obwodzie istnieje zwykle około 20 zborów kierowanych przez starszych zboru i sługi pomocnicze. Na całym świecie jest w tej chwili ponad 6,5 miliona Świadków Jehowy, w Polsce -125 tysięcy, a w złotoryjskim zborze -120 osób tego wyznania.

Czy wasza organizacja ma charakter handlowy?
Żeby nasz związek mógł legalnie działać i wydawać czasopisma, musiał się zarejestrować i spełnić określone wymogi prawa. Natomiast nikt z naszych członków nie czerpie korzyści majątkowych z działalności religijnej. Każdy z nas pracuje dla organizacji za darmo, a siebie i rodzinę powinien utrzymać z własnej pracy zarobkowej. Jednak za utrzymanie pomieszczeń trzeba zapłacić, dlatego każdy z nas poczuwa się do odpowiedzialności i płaci dobrowolne datki na ogólnoświatową działalność Świadków Jehowy. Datki na potrzeby zboru raz w miesiącu są skrupulatnie rozliczane. Na zebraniu publicznie brat Henryk Mazur odczytuje wpływy i wydatki. Jeżeli niezbędne są wydatki ekstra, to wtedy zarządzamy głosowanie nad zbiórką pieniędzy. W Polsce Świadkowie Jehowy od 31 stycznia 1990 roku są zarejestrowani jako związek wyznaniowy pod nazwą *Strażnica - Towarzystwo Biblijne i Traktatowe. Zarejestrowany Związek Wyznania Świadków Jehowy w Polsce*. Biuro Oddziału mieści się w Nadarzynie koło Warszawy.

Proszę opowiedzieć o podstawach religii.
Podstawą naszej religii jest Biblia i Świadkowie Jehowy konsekwentnie jej się trzymają. Interpretację Biblii podają nam *Strażnice*. Mam w domu egzemplarze *Strażnicy* od 1945 r. i nieprawdą jest, że nie wolno nam czytać starych wydań. Pewnie, że zmienia się jej interpretacja w przeciągu wieków. Np. Żydzi dokonywali obrzezania chłopców niemowląt, ale Jezus to zniósł. W miarę, jak coś się lepiej rozumie, należy to zmieniać.
W Biblii jest zawarta prawda. Świadkowie Jehowy wierzą, że jest jeden Bóg, ojciec wszystkich i ma na imię Jahwe lub Jehowa. Jego syn Jezus nie jest przez

Duszy nie ma

nas traktowany za równego Bogu ani w mocy, ani w sile, ani w chwale. Odrzucamy więc dogmat Trójcy Świętej. Jezus modlił się do Ojca, ale to Jezus przyszedł na świat, a nie Jehowa, To Jehowa wskrzesił Jezusa, Jezus został zabity i nie żył przez trzy dni. A przecież Bóg nie może zostać zabity, bo to podważa jego niezniszczalność. Zatem Jezus jest jedynie synem bożym.

Sprawa ukrzyżowania?
Według Świadków Jehowy Jezus nie został ukrzyżowany, lecz zabito go, a następnie powieszono na palu. Lecz, moim zdaniem, to jest rzecz drugorzędna. Nie zgadzamy się, aby przedmiotem uwielbienia mógł być przedmiot, który był źródłem kaźni. Wiąże się to z szerszym tematem - my nie oddajemy kultu figurom ani posągom, wręcz wydaje nam się odrażające modlenie się, całowanie czy wielbienie przedmiotu, który służył do zabicia Jezusa.

Jaki jest wasz stosunek do dziesięciorga przykazań?
Respektujemy je wszystkie, ale tak, jak jest to uwidocznione w Biblii. Bo na przykład drugie przykazanie zostało usunięte z nauczania. Brzmi ono tak: *Nie będziesz czynił żadnej rzeźby, ani żadnego obrazu tego co jest na niebie wysoko, ani tego co jest na ziemi nisko, ani tego co jest w wodach pod ziemią, nie będziesz oddawał im pokłonu, nie będziesz im służył, ponieważ ja, Jahwe, twój Bóg, jestem Bogiem zazdrosnym.* Widać z tego, że to przykazanie zabrania bałwochwalstwa.

Jakie święta religijne obchodzicie?
Święto mamy tylko jedno: pamiątka śmierci Jezusa i służy ono rozpamiętywaniu Jego śmierci. Jest to święto ruchome, bo uważamy, że Jezus umarł 14 miesiąca nisan. W tym roku np. było to w tzw. Wielką Sobotę. W to święto spotykamy się na specjalnym zebraniu w naszej Sali Królestwa. Są oba symbole: chleb i wino gronowe, każdy dostaje je do ręki. Jeżeli uważa, że jest godzien je spożyć, to je chleb i popija winem, które jest symbolem krwi. Biblia nakłada specjalne wymogi na tych, którzy mogą jeść chleb i pić wino. Mówi, że spożycie symboli związane jest z wielką odpowiedzialnością i można popełnić poważny grzech, jeżeli ktoś niegodny je spożyje. Nasi wyznawcy są odpowiednio do tego przygotowywani, więc z całą odpowiedzialnością i powagą podchodzą do tego zagadnienia. Na 250 osób obecnych tutaj na specjalnym zebraniu podczas święta nikt nie spożył tych symboli, bo nie uznał, że jest godzien. Na całej kuli ziemskiej na 6 milionów Świadków Jehowy podczas święta tylko około 9 tysięcy wyznawców przyjmowało te symbole.

Czy w domach podczas tego święta są jakieś uroczystości?
W tygodniu poprzedzającym rocznicę śmierci Jezusa, w tym wielkim tygodniu, w domach czytamy więcej Biblii. Wieczorem, gdy rodzina jest razem, siada i zaczyna czytać Biblię. Często jest to głośne czytanie, ale nie jest specjalnie zalecane. Nie ma żadnych specjalnych ceremonii. Innych świąt związanych z życiem Jezusa nie obchodzimy.

Imieniny, urodziny, inne uroczystości?
Nie obchodzimy.

Czy wasze życie nie jest przez to smutniejsze niż innych? A co z biesiadami?
Gdyby pani zapytała mojej żony, jak często otrzymuje kwiaty, to z całą pewnością powiedziałaby, że często. Tylko że nie jest to i nie musi być związane z jakimś wydarzeniem. Po prostu, kocham ją, więc dostaje ode mnie kwiaty.

A urodzenie się dziecka, ślub? Jak do tego podchodzicie?
Dzieci nie są chrzczone, więc odpada ceremonia chrzcin. Natomiast jest to tak radosne i ważne wydarzenie w naszym życiu, że rodzina może urządzać przyjęcie, zapraszać rodzinę i znajomych. Jeżeli chodzi o ślub, to nie ma ślubu kościelnego. Jest ślub cywilny. A tu, na tej sali jest wygłaszane okolicznościowe przemówienie. Potem młodzi jak chcą, to robią wesele, lub nie robią go. Ale jeżeli już jest wesele, to wynajmuje się salę, młodzi zapraszają, kogo chcą, na przyjęciu są też katolicy, bawią się, tańczą. Natomiast jest nie do pomyślenia, żeby jakiś Świadek Jehowy upił się na takim weselu. To jest straszna hańba!
W ogóle jest jakieś nieporozumienie co do zachowań Świadków Jehowy. Jest generalny pogląd, że jesteśmy niewolnikami *Strażnicy*, że jest jakaś centrala w Brooklynie, która nami manipuluje i nakazuje nam, co możemy mówić, jak się zachowywać, co oglądać i czytać.

No tak.

Piotr Barczak - starszy w zborze Świadków Jehowy w Złotoryi

To jest absolutna nieprawda!
Jeżeli są jakieś święta (tzw. czerwone kartki w kalendarzu), to oczywiście, my też nie pracujemy, wykorzystujemy wolne dni na odpoczynek, jeździmy na urlopy. Co do biesiadowania, to na przykład wczoraj byli u nas znajomi, siedzieliśmy przy kolacji, spożyliśmy nieco alkoholu. Jesteśmy normalnymi ludźmi, jeśli o to chodzi. Natomiast Świadkom Jehowy nie wolno palić papierosów, bo z Biblii wynika wyraźnie, że to jest grzech. Za to można być ekskomunikowanym, co oznacza, że osoby, które świadomie łamią zakazy i nie chcą przestrzegać reguł, zostają usunięte. Przecież nie zmuszamy do bycia Świadkiem Jehowy.
Na przykład dzisiaj przyszedł na zebranie jeden człowiek, który jest ekskomunikowany, ponieważ kiedyś na mnie napadł. Nie zabraniamy nikomu przychodzenia na zebrania, lecz on przestał być Świadkiem Jehowy.

I tak na zawsze?
On może wrócić. Jeżeli okaże skruchę. Religia powinna podnosić nasze życie na wyższy poziom, więc stawia wymagania, a wyznawca powinien się im podporządkować.

No to macie czystą sprawę. Wykluczacie ze swojego grona ludzi niegodnych, złodziei, przestępców, morderców i wtedy możecie powiedzieć, że jesteście moralni.
To nie jest takie automatyczne. Jest bardzo wiele spotkań i prób pomocy takim osobom. Trwa to czasem rok albo dwa. Przecież oni sami się zobowiązali do przestrzegania pewnych reguł. Ale jeżeli uparcie ich nie przestrzegają, to nie mogą być Świadkami Jehowy.

A jeżeli Świadek Jehowy został osądzony i siedzi w więzieniu, to jest automatycznie wykluczany z waszej społeczności?
Nie. Nasi współwyznawcy mają dostęp do osadzonych w więzieniach naszych braci. Rozmawiają z nimi, oferują pomoc. Wszystko zależy od postawy konkretnego człowieka. Jeżeli żałuje swoich postępków i okazuje skruchę, to na pewno nie będzie wykluczony.

Czy Świadkom Jehowy zabrania się uczestniczenia w obrzędach innych religii? Na przykład w katolickich pogrzebach?
To też jest nieprawda! Ja na przykład niedawno byłem na katolickim pogrzebie ojca mojego przyjaciela. Stanąłem sobie skromnie z boku, aby innym nie przeszkadzać w wypełnianiu religijnych obrzędów. W każdej religii są ludzie, którzy mogą zapędzać się w przesadę, w dewocję. Znamy takie przypadki i próbujemy im przeciwdziałać. Naszych wyznawców grzebiemy na cmentarzu komunalnym w naszym mieście. Groby są charakterystyczne, bo nie mają oczywiście krzyża, lecz na nagrobku umieszczamy werset z Biblii.

Jeden z waszych wyznawców w Złotoryi zabronił swoim dzieciom oglądania telewizji, zresztą telewizora nawet nie ma w domu.
To jest właśnie sekciarskie podejście do religii. Na 120 naszych członków większość ma telewizory w domu i ogląda telewizję. Ja osobiście nigdy nie miałem telewizora i nie mam, ale to nie ma nic wspólnego z religią. Bo ja nie lubię telewizji i wolę czytać.

Jakie jest wasze podejście do duszy? Prawie wszystkie religie głoszą, że człowiek nie umiera całkiem, że zostaje po nim coś jeszcze w sferze duchowej.
Duszy nie ma. Bóg powiedział do Adama: *Z prochu jesteś i w proch się obrócisz*. Z Biblii wynika bardzo jasno, że człowiek po śmierci wraca do prochu. I koniec. Dusza umiera. I nic nie ma więcej. Dusza to człowiek. Nie ma czyśćca, piekła. To jest oszukaństwo. Ale Księga mówi też o zmartwychwstaniu. Ale tylko ciała. Mianowicie, gdy przyjdzie Królestwo Boże, to wszyscy, co są w grobach, zmartwychwstaną i żyć będą wiecznie na ziemi. Wtedy nikt nie będzie umierać. W to wierzą Świadkowie Jehowy.

Czy wolno wam uprawiać politykę? Brać udział w wyborach?
Nie. Mamy płacić podatki, respektować prawo danego kraju. Religia nie powinna mieszać się do polityki. Są to dwie osobne sprawy.

Jak długo w pańskiej rodzinie jest religia Świadków Jehowy?
Jestem Świadkiem Jehowy od trzeciego pokolenia. W naszym zborze są osoby mające bardzo krótki staż. Na przykład na ostatnim zgromadzeniu obwodowym około pół roku temu przyjęła chrzest nasza siostra Justyna Korzystko. Zanim do tego dojdzie, kandydat musi długo studiować Biblię. W jej przypadku trwało to 2 – 3 lata. Znajomość Biblii jest bardzo dokładnie sprawdzana. Przychodzą starsi zboru i zadają kandydatowi mnóstwo pytań. Sprawdzają, czy z ich strony to nie jest poryw, czy kandydat zdaje sobie sprawę z odpowiedzialności, jaką na siebie bierze, wstępując w szeregi Świadków.

Dużo jest przypadków rezygnacji, odejścia od religii?
O tak! Bardzo, bardzo dużo. Większość osób, które nawiązują kontakty ze Świadkami Jehowy, po jakimś czasie rezygnuje, gdyż jak twierdzą, nie nadają się do nas. Bo u nas nie wolno palić, upijać się, przeklinać. Wiele innych ograniczeń moralnych jest niemożliwych i za trudnych do przyjęcia.

Wasza działalność kaznodziejska jest źle odbierana przez ludzi. A mimo to chodzicie po domach?
Tak, wiem o tym. Jest bardzo źle odbierana. Ale Jezus, gdy był na ziemi, chodził od wsi do wsi, od miasta do miasta i głosił o królestwie bożym. My musimy to robić, niezależnie od następstw i konsekwencji, bo tak mówi Biblia. Za czasów komunistycznych nasi wyznawcy byli za to nawet represjonowani, bo zdelegalizowano nas w okresie od 1950 do 1971 roku. Podczas głoszenia często jesteśmy wyzywani wulgarnymi słowami, poniżani. Ja sam byłem parę razy uderzony w twarz, polany gnojówką, oblany wodą. Ale głoszę nadal, bo te przykre doświadczenia uczą pokory. Jestem przekonany, że przychodzę z czymś ważnym, jeżeli wiem, że moje posłannictwo może uratować czyjeś życie, to po prostu to robię. Biblia mówi, że jesteśmy odpowiedzialni przed Bogiem za to, że mamy możliwość głoszenia. Ktoś mógłby mieć do mnie pretensję, że nie spróbowałem. Ale taki ktoś korzysta też ze swoich praw i może powiedzieć „nie, nie chcę z panem rozmawiać".

Jak sobie radzą dzieci w szkołach z katolicką większością? Zwłaszcza gdy przychodzi czas pierwszych komunii, białych sukienek, prezentów, tego całego zamieszania, które dzieci katolickie uwielbiają?
Większość dzieci radzi sobie bardzo dobrze, lecz na pewno płaci się jakąś cenę. Ale za to jest komfort psychiczny. Bycie w zgodzie z sobą, ze swoimi przekonaniami, żeby nie iść na kompromis. Dzieci się tego uczy, poza tym mają przecież wsparcie rodziców. Jeżeli jest im bardzo trudno, to idziemy do szkoły i interweniujemy u wychowawców.
Chcę powiedzieć, że w Złotoryi mamy wyjątkowo przyjazny klimat do uprawiania naszej religii. To bardzo tolerancyjne miasto. Odnosi się to do wielu poziomów. Tak to oceniam.

To prawda, że nie przyjaźnicie się z osobami innych wyznań?
Tak, to prawda. Zdaję sobie sprawę, że to tworzy naszą izolację w środowisku, ale jakoś to tak się dzieje. My mamy nieco odmienne zainteresowania, inaczej się zachowujemy. Jest mało punktów wspólnych w wymiarze duchowym. Poza tym potrzebujemy określenia granic, aby zachować własną tożsamość.

Ze starszym zboru Świadków Jehowy w Złotoryi
Piotrem Barczakiem
rozmawiała Agnieszka Młyńczak

W Sali Królestwa
Pierwsi chrześcijanie spotykali się, aby wysłuchiwać pouczeń i cieszyć się własnym towarzystwem. Ich wzorem dzisiejsi Świadkowie Jehowy zbierają się trzy razy w tygodniu. Całą uwagę skupia się na programie wychowawczym, opartym na zasadach bożych.
Pewnej niedzieli zostałam zaproszona na takie zebranie do Sali Królestwa przy ulicy Kolejowej w Złotoryi. Ponieważ pierwszy raz byłam w tym miejscu, rozglądałam się z ciekawością po pięknie utrzymanej posesji obiektu. Ogród otaczający budynek śmiało może służyć za wzór do zakładania własnych ogródków. Rosną tu doskonale utrzymane, posadzone z wyczuciem piękna grupy roślin, które harmonizują ze sobą gatunkiem, wielkością i kolorem. Jeżeli dodamy do tego przeraźliwie czystą kostkę brukową i ciekawą bryłę obiektu sakralnego - możemy bez cienia wątpliwości uznać, że to piękne miejsce, gdzie można bez przeszkód wielbić Boga.
Salę Królestwa złotoryjscy Świadkowie Jehowy budowali sami, oczywiście nie biorąc za pracę żadnych pieniędzy. Jednak do zakupu materiałów zmuszeni byli zaciągnąć kredyt, który obecnie sumiennie spłacają.

Ostatnie chwile przed zebraniem w Sali Królestwa

Po wejściu do środka zaskakuje mnie widok holu. Wzdłuż jednej ze ścian wiszą na ramiączkach - porządnie, jedne za drugim - wierzchnie ubrania przychodzących. Dalej do sali zebrań wchodzący idą w eleganckich ubraniach wizytowych. Ja również odwieszam swoją kurtkę i udaję się na górę, prowadzona przez gościnnego Piotra Barczaka.
Sala już w połowie zapełniona, do godziny spotkania brakuje kilku minut. Na sali (policzyłam) jest 120 krzeseł, z których tylko kilka pozostaje pustych. Z tyłu, tuż za moim krzesłem, tablica informacyjna z wieloma ogłoszeniami. Czytam z ciekawością. Wynika z nich, że zbór jest doskonale zorganizowany. Są wyznaczone osoby do sprzątania, obsługi nagłośnienia i muzyki podczas zebrań, bracia do prowadzenia wykładów, grafik wykładów biblijnych. Pod nią -dwie skrzynki na datki. Jedna dla zboru, druga na działalność ogólnoświatową Towarzystwa.
Sala urządzona komfortowo: doskonałe nagłośnienie, wentylacja, dobre oświetlenie no i wygodne krzesła. Na podłodze w doskonałej czystości-wykładzina dywanowa. Wszystko sprawia bardzo pozytywne wrażenie. Nad mównicą biblijna sentencja: *Stójcie niewzruszenie i oglądajcie wybawienie, które zgotuje Jehowa* [Wyjścia 14:13].

Zebranie rozpoczyna się pieśnią śpiewaną na stojąco. Gdzieś z tyłu dobiega głos podkładu muzycznego. Następnie, nadal stojąc, wszyscy zebrani odmawiają modlitwę do Jehowy. Po czym wszyscy siadają i brat Henryk Mazur rozpoczyna niedzielny wykład na temat *Jakie wartości sobie cenisz?* Wykład jest gęsto przeplatany cytatami z Biblii. Obserwuję zebranych. Wielu z nich przyszło całymi rodzinami, niektórzy z maleńkimi dziećmi, siedzą razem. Każda osoba ma w ręku Biblię, którą w trakcie wykładu otwiera i sprawdza werset, który cytuje brat prowadzący. Na koniec przemówienia rozlegają się oklaski.
Teraz z kolei będzie przeprowadzone studium Biblii, którego temat na dzisiaj brzmi *Co dla ciebie oznacza obecność Chrystusa?* Polega to na tym, że lektor, siedzący naprzeciw zebranych czyta wersety z Biblii, następnie zadaje pytanie, a obecni zgłaszają się poprzez podniesienie ręki. Odpowiedzią na pytanie jest odnaleziony odpowiedni werset w osobistej Biblii. Najchętniej zgłaszają się dzieci, które są świetnie przygotowane.
Zebranie kończy się odśpiewaniem pieśni. Obecni wychodzą powolutku, spoglądając na mnie ciekawie, lecz bez zdziwienia. Wielu z nich to moi znajomi, pozdrawiają mnie. Pan Piotr wyjaśnia, że na zebrania często przychodzą ludzie spoza ich środowiska. Zawsze są mile widziani.

W zebraniu uczestniczyła Agnieszka Młyńczak

WYSKOK

Wyskok- mała wieś położona w pobliżu Złotoryi- liczy zaledwie 47 mieszkańców, z czego większość stanowią potomkowie osadników przybyłych po wojnie .Wielu mieszkańców jest ze sobą spokrewnionych, posiada to samo nazwisko, a przez obcych odróżniani są po imieniu, a nawet po imieniu ojca, numerze domu. Ze względu na położenie(zaledwie kilka km do miasta, piękne widoki na góry – przy dobrej widoczności można zobaczyć Śnieżkę- cisza, spokój) Wyskok stał się atrakcyjnym miejscem do zamieszkania również dla młodszego pokolenia. Obserwujemy duże zainteresowanie

Widok na Wyskok od strony Złotoryi

Widok z Wyskoku na Pogórze Kaczawskie

działkami budowlanymi. Obecnie rozpoczęto budowę kilku domów.

Ciekawostką są krążące wśród mieszkańców pogłoski o zakopanym skarbie oraz legendę o złoczyńcach, którzy utonęli w wyrwie z wodą wraz ze zrabowanym majątkiem. Ich jęki można ponoć jeszcze dziś usłyszeć na łące między Wyskokiem a Pyskowicami.
Uważamy, że walorem Wyskoku mógłby być park, w którym stała kiedyś Villa Scheuermanna**.** Były osoby zainteresowane odbudową obiektu. Żałujemy, że nie doszło do realizacji planów, a obecny właściciel nie interesuje się posesją i miejsce to stało się dzikim wysypiskiem śmieci.
Kapliczka- Na kapliczce widnieje napis:
Kaplica Matki Boskiej Niepokalanej wzniesiona przez ojców naszych w 1947 r. Odnowiona w drugim roku

Kapliczka

Trzeciego Tysiąclecia przez ich synów dla upamiętnienia wielkiego jubileuszu 2000, IX Pielgrzymki Ojca Świętego Jana Pawła II do Ojczyzny i 55-tej rocznicy jej budowy.

Przy kapliczce dawniej odbywały się niedzielne nieszpory oraz jeszcze do niedawna majówki. Tutaj

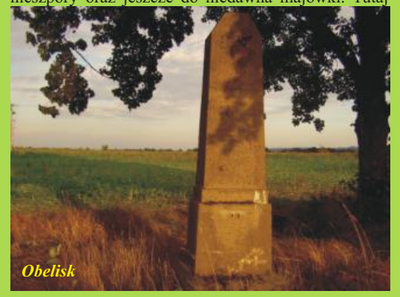

Obelisk

mieszkańcy święcą wielkanocne koszyczki z tzw. święconym.

Obelisk- Przy drodze prowadzącej ze Złotoryi stoi obelisk upamiętniający Bitwę nad Kaczawą, wystawiony w 1913 r. w setną rocznicę wojen napoleońskich.

62 lata osadnictwa
Rozmowa z **Tadeuszem Chmielowskim, synem Jana**, będącym jednym z najstarszych osadników w Wyskoku:

Zdjęcia z 1939r. przedstawiające gospodarstwo, w którym obecnie mieszka Pan T. Chmielowski

Jak Pan się znalazł w Wyskoku?
T.Ch.: Przyjechałem z rodzicami w 1946r. z Kresów. Miałem wtedy 10 lat, a Wyskok nazywał się Górna Złotoryja. Starsi ludzie w Złotoryi do tej pory mówią o mieszkańcach Wyskoku „Górniaki", mimo że nazwa zmieniona była w latach 50-ych. Pamiętam takie zdarzenie. Było to gdzieś 20 lat po wojnie. Rosyjscy żołnierze mieli ćwiczenia i oficer rosyjski posiadał mapę, na której widniała nazwa Górna Złotoryja. Był też zaznaczony nieistniejący już wiatrak.
Jaką drogę przebył Pan ze Wschodu na Ziemie Odzyskane?
T.Ch.: Po przesiedleniu z Wołczuch koło Lwowa znaleźliśmy się w Koźlu (woj. opolskie). Mieszkaliśmy tam rok, a po podpisaniu polskiego obywatelstwa przez mieszkańców tego regionu musieliśmy zasiedlić Ziemie Zachodnie i przybyliśmy do Wyskoku. Jechaliśmy pociągami z całym dobytkiem.
Dlaczego właśnie do Wyskoku, a nie do innej wsi?
T.Ch.: W 1946 r. większość wsi już była zasiedlona, moja rodzina wybrała więc Wyskok. Nasz dom pochodzi z 1829 roku- nadal widoczna jest nad drzwiami data.

Czy wszyscy osadnicy pochodzili z tych samych terenów?
T. Ch.: Tak. Wszyscy pochodzili z tej samej wsi.
Jak wyglądał Wyskok w tamtym okresie?
T.Ch.: Cały Wyskok to były 4 duże gospodarstwa bauerów – czyli folwarki. Te duże gospodarstwa zasiedlało po kilka rodzin. Istniało przekonanie, że wkrótce wszyscy wrócą do swoich rodzinnych stron, a mieszkanie tu miało być tylko tymczasowe. Niezwykłe było to, że w tych folwarkach była bieżąca woda, w co niektórych domach łazienki, wc,. Bieżąca woda była również na łąkach (poidła dla zwierząt), a w oborach-automatyczne poidła, wózki szynowe do zadawania kiszonki, dojarki elektryczne. Problemy powstały po kilku latach, gdy zepsuła się poniemiecka głębinowa pompa wodna, która zasilała całą wieś. Nikt nie umiał jej naprawić i mieszkańcy wozili wodę z okolicznych wsi i ze Złotoryi.
Jak wyglądało na początku życie osadników?
T.Ch.: Gospodarstwo, w którym mieszkam, zasiedliło 6 rodzin. Była jedna wielka kuchnia poniemiecka i na początku wszyscy tam gotowali. Potem, po umownym podzieleniu pomieszczeń, każdy rozbierał piece kaflowe i stawiał kuchnie węglowe i piece chlebowe. Każda rodzina przywiozła swój dobytek (konie, krowy).Ci gospodarze, którzy nie mieli własnych koni, po jakimś czasie otrzymali w ramach pomocy w darze z UNRR-y. Każdy obrabiał tyle pola, ile mógł. Nie było fizycznego podziału.
Ilu gospodarzy było wtedy w Wyskoku?
T.Ch. W tamtych czasach było 24 gospodarzy. Rodziny były liczne, więc mieszkańców było dużo więcej niż obecnie. Wyskok tętnił życiem. Odbywały się dożynki i zabawy taneczne, organizowane w poniemieckim nieistniejącym już pałacu.
Poza tym istniało tu gospodarstwo rolne zarządzane przez Urząd Bezpieczeństwa. Pracowali na nim Niemcy, autochtoni, którzy później zostali przesiedleni do NRD. Potem pracowali tu Polacy z centralnej Polski. Po jakimś czasie zostało ono podzielone między tych pracowników, jednak oni nie byli rolnikami i nie radzili sobie z prowadzeniem

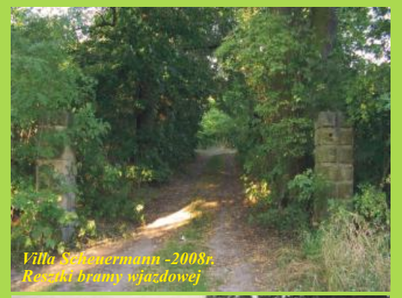

Villa Scheuermann -2008r. Resztki bramy wjazdowej

Villa Scheuermann -1943r.

gospodarstw. Z czasem powyjeżdżali w inne strony.
Jak wyglądał pałac?
T.Ch.: Pałac nie był zniszczony. Wejście do Villi, otocznie nazwanej pałacem, znajdowało się od strony północnej z kierunku Pyskowic. Z boku znajdowało się drugie wejście, dla służby. Wewnątrz nie było już wartościowych przedmiotów, gdyż prawdopodobnie w czasie wojny urządzono w nim szpital wojskowy. Świadczyły o tym pozostawione kule, sprzączki wojskowe, i podobne rzeczy. Mebli też nie było. Zachowały się wtedy sztukaterie na ścianach i sufitach, piękny park wokół budynku, alejki, stół kamienny i ławki. W pobliżu znajdowały się groby żołnierzy rosyjskich, które przeniesiono na cmentarz w Bolesławcu.

Czy pojawili się kiedyś właściciele Villi, tak jak czasami przyjeżdżają potomkowie właścicieli folwarków?
T.Ch.: Nie. Właścicielką była prawdopodobnie samotna Niemka, która posiadała duży majątek, a Villa była tylko rezydencją. Nie wiadomo, co się z nią stało.

Przedwojenne zdjęcie drugiego wielkiego folwarku, obecnie również zamieszkanego .

Dlaczego stał pusty?
T.Ch.: Gdy Polacy przyjechali do Wyskoku, zasiedlali gospodarstwa. Władze (Rada Powiatowa) nie zezwoliły na zasiedlenie pałacu.
Czy był Pan w swoich rodzinnych stronach?
T.Ch.: Tak, 3 lata temu. Był to wyjazd zorganizowany przez Związek Kresowian w Strzelcach Opolskich, gdyż mieszkańcy Strzelec pochodzili z wioski sąsiadującej z Wołczuchami.
Jak zmieniła się wieś?
T.Ch.: Zarys wsi pozostał taki sam, ale stare przedwojenne gliniane budynki rozebrano jeszcze za Stalina. W ich miejsce pobudowano nowe.
Jak Was przyjęto?
T.Ch.: Wszyscy byli bardzo mili, serdeczni, gościnni. W moim rodzinnym domu mieszka pan Wołoszyn, młodszy ode mnie o 5 lat. Spotkałem swoich rówieśników, ale wcześniej nie znaliśmy się.
Co Pan czuł w rodzinnych stronach?
T.Ch.: – Trochę się bałem, ale cieszyłem się i rozpoznawałem dawne miejsca. Na moim podwórku nie ma już dwóch stodół, ale nadal stoi studnia. Podwórko jest mniejsze, bo wybudowano nowe budynki.
Czy zachowały się ślady przeszłości?
T.Ch.: –Na cmentarzu są polskie groby. Grób mojego pradziadka, który przez 30 lat był wójtem, jest zadbany. Kościół polski jest zawalony, stoi tylko mała cerkiew.

Rozmawiali: Wiesława i Tadeusz Chmielowscy
Joanna i Sławomir Kaczmarscy

Sołtys czterech kadencji
Rozmowa z Tadeuszem Chmielowskim, synem Władysława, sołtysem wsi

Joanna Kaczmarska - Od ilu lat sprawuje Pan urząd sołtysa?
Tadeusz Chmielowski: Urząd sołtysa sprawuję już czwartą kadencję.
J.K.: Jak zmieniła się wieś za Pana pamięci?
T.Ch.: W latach 70-ych nastąpił lawinowy odpływ młodzieży do miasta. Znacznie ubyło rolników, obecnie jest tylko trzech gospodarzy utrzymujących się z pracy na roli. Posiadamy sieć wodno-kanalizacyjną, oświetlenie, telefonizację oraz Internet. Poza tym łatwiej dostać się do miasta niż dawniej, bo kursuje autobus PKS-u oraz busy prywatne na trasie ze Złotoryi do Legnicy.
J.K.: Dlaczego nie uciekł Pan ze wsi, jak wielu innych młodych?
T.Ch.: Skończyłem szkołę górniczą i pracowałem jako górnik – operator sprzętu ciężkiego. Zawsze ciągnęło mnie jednak do pracy na roli i później, ze względu na chorobę ojca, przejąłem gospodarstwo po rodzicach.
J.K.: Co by Pan chciał zmienić w wiosce?
T.Ch.: -W związku z dużym zainteresowaniem działkami budowlanymi i napływem młodych ludzi niezbędna jest budowa świetlicy wiejskiej. Planujemy również plac zabaw dla dzieci. Mieszkańcy są bardzo chętni do pomocy w organizacji takiego miejsca zabaw. Większość zadeklarowała prace społeczne.Wiążę również nadzieję z rozwojem Ocelotu i jego planami zagospodarowania obiektów po byłym folwarku.
J.K.: – Jakie problemy zauważa Pan we wsi?
T.Ch.: Obecnie brakuje nam sklepu. Jest to problem szczególnie dla osób starszych.
Dla zwiększenia bezpieczeństwa chciałbym, aby wzdłuż drogi powstał chodnik.

Najstarsi osadnicy
Z panią **Felicją Zając**(urodzoną w 1931 r.) i panem **Franciszkiem Zającem** , najstarszymi osadnikami Wyskoku, rozmawiają sąsiadki: Anna Majewska (z domu Chmielowska, od urodzenia mieszkanka Wyskoku) oraz Joanna Kaczmarska (mieszkanka wsi od 12 lat).

Kiedy Państwo przybyli do Wyskoku i skąd?
Felicja Zając – Tak jak wszyscy, pochodzimy z Wołczuch. Stamtąd wyjechaliśmy do Większyc, powiat Koźle, a po roku do Wyskoku. Ja miałam 15 lat i przyjechałam z rodzicami i rodzeństwem. Bardzo przeżywałam wyjazd i było mi żal, bo został tam nasz

Przedwojenne zdjęcie folwarku, w którym po wojnie stały piękne karety. Tymi karetami Państwo Zającowie jechali do ślubu.

Zdjęcie współczesne

pies. Zamieszkaliśmy pod nr 1, a po zamążpójściu zamieszkałam pod nr 4a – w mieszkaniu zamieszkanym wcześniej przez ludzi z centralnej Polski, którzy wyjechali.
Czym różnił się Wyskok od Wołczuch?
Felicja Zając: Wołczuchy to była duża polsko-ukraińska wieś (164 numery). Tam nie było prądu ani bieżącej wody. Domy to były ziemianki z gliny kryte strzechą. Tam rodzice mieli 8 morgów, tu gospodarzyli na 7 hektarach. Tu była elektryczność, woda. Na podwórku do lat 50-ych stał 20-metrowy wiatrak do czerpania wody, ale nieczynny. Kiedyś pompował wodę do gospodarstw ze studni. (Na podwórku były dwie studnie). Za stodołą stał staw do pojenia bydła. Domy były murowane, a niektóre budynki z pruskiego muru.
Franciszek Zając: - Ja miałem 13 lat, gdy tu przybyłem. Z Wołczuch do Koźla jechałem konno, bo koni nie można było zabrać do pociągu. Wyruszyliśmy w 60 furmanek (Wołczuchy i Rodatycze – sąsiednia wieś) w Zielone Świątki, jechaliśmy 6 tygodni.
Jak wyglądały początki?
Franciszek Zając: Początki były trudne. Nastąpił podział ziemi, każdemu gospodarzowi po 7 ha. Studni nie używano, bo bano się, ze woda jest zatruta. Potem powstała spółdzielnia produkcyjna – zabierano krowy, konie, pola. Wszyscy pracowali w tej spółdzielni, otrzymywali zapłatę. Tak było do 1956 roku, bo wtedy oddano rolnikom tyle ziemi, ile zabrano, jednak bez fizycznego podziału. Do szkoły dzieci chodziły do Nowej Wsi (7 klas), a potem do Złotoryi.
Co się zmieniło na podwórku?
Felicja Zając: Kiedyś wszystko było ogrodzone. Za folwarkiem był park, aleje. Stał drewniany ganek.
Czy zostało coś po Niemcach, gdy Państwo przyjechaliście?
Franciszek Zając: Nie. Nie było w ogóle wartościowych rzeczy.
Chodzą słuchy o zakopanym skarbie? Czy coś odkopano?
Franciszek Zając: Nie .Żadnego skarbu, porcelany czy innych wartościowych rzeczy nie odkopano. Jedynie ja z dziadkiem wykopałem 14 pocisków przeciwczołgowych. Na podwórku stał tez grób poniemiecki.
Czy byli Państwo w swoich rodzinnych stronach?
Franciszek Zając: W Wołczuchach nie byliśmy, ale ja byłem rok temu w Koźlu ze swoimi wnukami. Część rodziny tam została i byliśmy ich odwiedzić.

Rozmowa z sąsiadką
Ze swoją sąsiadką, Panią Hajdun rozmawiają Joanna Kaczmarska oraz Michał Kaczmarski
Czy Pani również, jak większość mieszkańców, przybyła z Wołczuch

Dom Państwa Hajdunów – dawniej

i dziś...

P.H.: Nie, ja pochodzę z Rzeszowskiego. Miałam 3 lata, gdy moi rodzice przyjechali do Kozowa. W Wyskoku mieszkał mój mąż i to on pochodzi z Większyc koło Wołczuch -powiat Gródek Jagielloński**.**
Czy cała Pani rodzina przyjechała tutaj?
PH.: Nie, zostało dużo naszej rodziny, a my ich odwiedzaliśmy.
Czy z relacji rodziców wie Pani, jak układały się stosunki sąsiedzkie na początku?
P.H.: Rodzice opowiadali o wzajemnej pomocy, życzliwości.
Czy przyjeżdżają w odwiedziny dawni mieszkańcy Wyskoku?
P.H.: Tak. Przyjeżdżają również ich dzieci i wnuki. Oni dość długo mieszkali tu po wojnie i znali mojego męża.
Co by Pani zmieniła w wiosce?
P.H.: Brakuje nam sklepu. Przydałoby się też lepsze połączenie z miastem w soboty i niedziele. Potrzebna by była świetlica.

Opracowali:
Joanna i Sławomir Kaczmarscy,
Anna Majewska i Wiesława Chmielowska

Prawdziwy Meksyk

Monika Lira urodziła się Złotoryi, dorastała w Głogowie, studiowała w Poznaniu a obecnie od dwóch lat mieszka w Meksyku, konkretnie w Mexico City. Ta trzydziestoletnia, dziewczęco wyglądająca kobieta jest żoną Meksykanina i matką dwóch synów - niespełna trzyletniego Aleksa i kilkumiesięcznego Diego. Tegoroczne wakacje Monika z dziećmi spędza w Polsce, więc mamy okazję porozmawiać o jej wrażeniach z Ameryki. Co ją zaskoczyło? Co urzekło? Czym Meksyk różni się od Polski i czy naprawdę Ameryka ma w sobie urok, który uwodzi

Na pytanie, jakie ma spostrzeżenia z Mexico City, Monika mówi bez wahania: *za dużo ludzi i za dużo samochodów. Powietrze jest zanieczyszczone, a woda w kranie nie nadaje się do spożycia.* To jednak typowe mankamenty życia w wielkim mieście. A co zaskakuje? Przybysza z zewnątrz intryguje swoista architektura Mexico City. W planie zagospodarowania tej metropolii nie widać żadnej logiki. Panuje tu samowolka budowlana Stara część miasta zajmuje przestrzeń, która kiedyś była jeziorem. Po wysuszeniu akwenu Hiszpanie zaczęli wznosić tam budowle – obecnie to najcenniejsza część miasta. Pozostałe budynki pną się po skałach i swą konstrukcją przypominają betonowe pudełka. Z płaskich dachów często wystają pręty, które w przyszłości, kiedy powiększy się rodzina, posłużą do wzniesienia kolejnej kondygnacji. Na dachach niektórych budynków znajdują się metalowe boksy na pralki i zbiorniki z gazem (nie wszystkie domy podłączone są do miejskiego gazociągu). Monika twierdzi, że początkowo z obawą patrzyła na te bomby z opóźnionym zapłonem, ale teraz już nie robi na niej wrażenia, kiedy rano podjeżdża cysterna z gazem a mieszkańcy kupują za kilkaset pesos zapas na najbliższe dni. Gaz pompuje się rurami, które otaczają ściany budynku.

Osiedla wyglądają smutno. Domy stoją ciasno obok siebie, nie ma miejsca na zieleń. Mało kto może pozwolić sobie na ogród, a jeśli już taki ma, to otacza go wysokim na dwa metry betonowym murem. Mur chroni też bogatych. Dzielnice bogaczy wyglądają olśniewająco. Rezydencje jak z amerykańskich telenowel. Meksyk jest po prostu krajem kontrastów: Niewyobrażalne bogactwo i trudna do pojęcia bieda. Kiedy jedzie się przez góry, widać w indiańskich wioskach marne chaty sklecone z patyków i pokryte blachą falistą. Tak też mieszkają Meksykanie. Bieda, choć nie tak skrajna, widoczna jest też w metropolii. Popycha ona młodych do przestępstwa, do kradzieży i rozbojów. Monika mówi, że mieszkając w Miexico City, trzeba wiedzieć, którędy nie wolno chodzić w pojedynkę i o której godzinie lepiej być w domu niż na ulicy. Strach budzi też przestępczość zorganizowana. Dużym problemem są porwania dla okupu. Niedawno ofiarą kidnapingu padła sławna aktorka, innym razem trener piłkarzy. Na szczęście policja uwolniła ich z rąk porywaczy. Nie zawsze kończy się to tak pomyślnie. Porywacze nie wahają się przed morderstwem. A ze względu na korupcję nie wiadomo, czy policjant naprawdę jest stróżem prawa czy gangsterem.

Przydrożna restauracja

O tym jednak Monika wie na szczęście ze słyszenia i z programów informacyjnych. Sama nie doświadczyła ze strony Meksykanów żadnej przykrości. Postrzega ich jako ludzi ciepłych i spontanicznych. Z niewielką obawą czekała na pierwsze spotkanie ze swoimi teściami, ale kiedy pojechała do nich z mężem na wybrzeże Zatoki Meksykańskiej, okazało się, że przyjęto ją do rodziny z otwartymi ramionami. *Teściowa okazała się serdeczną kobietą. A teść początkowo nic nie mówił do mnie, bo mnie nie rozumiał* – wspomina ze śmiechem Monika. Ciotki i wujkowie Eryka, męża Moniki, przychodzili ją oglądać, gdyż ciekawiło ich, jak wygląda Polka. Dla niskich i śniadych Meksykanów, Monika była wyjątkowo wysoką, chudą, białą kobietą. Byli zdumieni, że nie jest blondynką. Polka w ich przekonaniu powinna mieć jasne włosy i niebieskie oczy, które dla nich są szczytem urody. Z jeszcze większą ciekawością rodzina przyglądała się ich synkowi, Aleksandrowi. Jednak starszy synek Moniki i Eryka wygląda zupełnie latynosko i słowiańskich wpływów w jego urodzie nie widać. Trochę inaczej rzecz się ma z jego słownictwem, bo jako trzylatek mówi w swoim języku, który powstał z polskich słów i hiszpańskich końcówek. Ot, nowe esperanto. Zrozumiałe tylko dla wtajemniczonych.

Widok z dachu domu Moniki

Meksykanie są bardzo rodzinni i skorzy do zabawy. Typowe dla prowincji są wielorodzinne domy, w których mieszka czasem nawet 10 osób. Bogatsi i młodzież z większych miast powoli odchodzą od tej tradycji. Zastanawia mnie, czy takie zagęszczenie w domu powoduje konflikty. *Nie takie, jakich można sobie po tym zagęszczeniu wyobrazić. Oni są bardzo wyluzowani i uprzejmi* – wyjaśnia Monika - *Żadnej porywczości. Na wiele sytuacji mają swoją odpowiedź:„mañana”.* Bardzo lubią wspólnie świętować. Ciekawym zwyczajem dla nas są 15 urodziny dziewcząt. Obchodzi się je tak hucznie, jak nasze osiemnastki. Ze względu na liczbę gości oraz rozmach, z jakim przygotowuje się przyjęcie, przypomina ślub i wesele. Dziewczyna ma na sobie piękną suknię, często w kolorze niebieskim lub różowym. *Cała ta uroczystość to pewien show, do którego jubilatka przygotowuje się kilka tygodni wcześniej. Między innymi uczy się czterech tańców, którymi musi zachwycić obecnych na uroczystości* – opowiada Monika – *Zanim zatańczy, uczestniczy na klęczkach w mszy świętej w jej intencji. Nie jest to łatwe do zniesienia, ale warto się pomęczyć, by potem się bawić. Tak młoda dama wkracza w swoje prawie dorosłe życie.* Często odbywa się to przy wtórze muzyki granej przez prawdziwych *mariachi*. Tradycja, by wynajmować kilku grajków na uroczystości rodzinne, jest wciąż żywa.

Kiedy Meksykanie świętują, od razu to widać. Jest hucznie, wesoło i „z pompą”. Przy każdej okazji odpalają fajerwerki. Nawet na Wigilię i Boże Narodzenie. Wigilia w Meksyku nie przypomina naszej – jest to impreza o charakterze towarzyskim, z muzyką i tequilą. Nikt nie czaka na gości, siedząc w skupieniu przy stole. Goście przychodzą i wychodzą, kiedy mają na to ochotę. Jednak zawsze przynoszą ze sobą coś dobrego do jedzenia. Tradycyjnie stawia się na stole indyka lub kurczaka w pikantnym sosie czekoladowo-paprykowym, suszoną, soloną rybę (*obrzydliwe* – mówi Monika) i makaron z sosem. Ostatnio furorę w rodzinie Moniki zrobiła ryba „po grecku”, którą jej mama przygotowała dla gości. Z alkoholi najpopularniejsza jest tequila i piwo. To drugie w żaden sposób nie przypomina naszego. Jest słabe, rozwodnione i polskim smakoszom na pewno nie przypadłoby do gustu. *Można je pić i pić i nie ma żadnego skutku* – śmieje się Monika. Picie wódki jest w Meksyku snobizmem.

Jednym ze zwyczajów wigilijnych (choć nie tylko, bo pojawia się przy okazji innych uroczystości) jest *piñata*. To wykonana z papieru kompozycja, najczęściej gwiazda wypełniona słodyczami, owocami i trzciną cukrową (*nic szczególnego* – mówi Monika), którą wiesza się u sufitu. Kiedy nadchodzi północ, gościom zawiązuje się oczy, daje do ręki kije i zaczyna się zabawa polegająca na tym, aby rozbić gwiazdę i uwolnić jej zawartość. Daje do wielką frajdę dzieciom i jest przedsmakiem prezentów, które dostaną dopiero następnego dnia.

Meksykanie równie hucznie obchodzą Święto Zmarłych. U nich trwa ono dwa dni, które kolejno poświęca się duszom zmarłych dzieci, a potem dorosłych. Tak jak każda fiesta, nie może się obejść bez jedzenia i picia. Bywa, że słychać huk sztucznych ogni. Nie jest to smutne święto, bo w przekonaniu Meksykanów śmierć nie jest końcem, a początkiem życia. Może to efekt większej niż nasza religijności? Głębokiej wiary nie można im odmówić. Widać to już po imionach: Jesus, Izrael, Ismael…Tak jak u nas w sierpniu wierni pielgrzymują na Jasną Górę, tak Meksykanie tłumnie w grudniu wędrują do bazyliki w Guadelupe. W wielu domach można zobaczyć kiczowate ołtarzyki z obrazem świętego, przyozdobione sztucznymi kwiatami i świecami. Co pewien czas składają na tych ołtarzach ofiary w postaci owoców. To taki przejaw naiwnej wiary, że można przekupić świętego. Dużą popularnością cieszy się św. Juda - patron złodziei i przemytników.

Co ciekawe, mimo tak wielkiej religijności, Meksykanie są bardzo tolerancyjni. Nawet dla gejów i lesbijek, dla których uchwalono osobne święto. *A w Polsce prezydent zakazał im manifestacji* – dziwi się Monika.

Ciekawym zagadnieniem jest w Meksyku relacja obywatel – państwo. Kiedy rodzi się nowy obywatel, rodzice powinni zgłosić w urzędzie jego przybycie. Szpital nie prowadzi rejestru urodzin. Państwo nie wtrąca się też do edukacji najmłodszych, jednak teoretycznie każde dziecko powinno chodzić do szkoły. Praktycznie- wielu obywateli nie umie pisać i czytać. Ze względu na liczbę mieszkańców i chaos panujący w służbach publicznych nie ma możliwości, by ścigać rodziców za nierealizowanie obowiązku szkolnego ich dzieci. *Chociaż ostatnio w mediach zaczęła się kampania uświadamiająca konieczność edukacji, ale najbiedniejsi i tak tego nie słuchają* – mówi Monika - *Dla wielu dzieci szkoła kończy się na podstawówce, bo potem muszą pomagać swoim rodzicom w polu czy w handlu. Pracują dziesięcio-, jedenastolatkowie. Rodzice nie myślą perspektywicznie, nie mają świadomości, że zamykając dzieciom drogę do edukacji, skazują je na tak samo nędzne życie, jakie sami wiodą. Dla nich najważniejsze jest to, co tu i teraz.* Państwo też nie ułatwia dzieciom edukacji. W wielu wioskach szkoła to barak z tablicą i nauczyciel, który nauczy tylko czytać i pisać.

W miastach jest łatwiej, ale i tu wiele młodych ludzi kończy swoja szkolną karierę na liceum. Na studia idzie niewiele młodzieży. Spośród studiujących najwięcej osób kończy licencjatem. Dalsza edukacja wydaje się niekonieczna lub zbyt kosztowna.

Monikę najbardziej zdziwiła tolerancja państwa dla szarej strefy. W kraju, gdzie jest 20% bezrobocia, pracują prawie wszyscy. Tylko 10% społeczeństwa płaci podatki. Gdy bliżej się temu fenomenowi przyjrzeć, można dojść do wnioski, że nic dziwnego, skoro prawo nie ułatwia wcale życia tym, którzy chcą żyć i pracować uczciwie. *Przeciętny Meksykanin twierdzi: po co płacić podatki, skoro państwo nic mu za to nie daje. I ma rację* – mówi Monika – *Pokolenie moich teściów nie ma w ogóle emerytur. Utrzymują się z tego, co robią na co dzień. Pracują, dopóki starczy sił, a potem zajmą się nimi dzieci.*

Kiedy na państwo nie można liczyć, każdy kombinuje, jak może zarobić i przetrwać. Najlepszą metodą, niewymagającą wielu nakładów finansowych, jest uliczna gastronomia. Stawia się budki przy ulicy bądź adaptuje na ten cel garaż i zaczyna kręcić interesy. Najczęściej sprzedaje się *tacos*, *quesadillas* (tortilla z różnymi rodzajami nadzienia mięsnego), *hamburgerguesas* (hamburgery). Moniki szwagierka tak zarabia od kilku lat i nie płaci podatków, ponieważ sprzedaje we własnym garażu. W Meksyku nie ma instytucji, która przeprowadzałaby kontrolę sanitarną takich jadłodajni. *Nikt nie chodzi i nie sprawdza czystości, ale nie słyszałam, by ktoś się mocno zatruł takim jedzeniem* – dziwi się Monika. Meksykanie wychodzą z założenia, że jak się zatruje, to jego sprawa. Następnym razem ominą tę budkę. Po prostu trzeba jeść tam, gdzie są większe kolejki. Poza tym pocztą pantoflową roznoszą się wieści, gdzie można smacznie i zdrowo zjeść, a gdzie grozi to rozstrojem żołądka.

Zielone taksówki - symbol Mexico City

Monika gotuje dla swojej rodziny „po polsku”. Eryk lubi taką kuchnię, ale jak przyjeżdża teściowa, to serwuje im owoce morza, których przywozi monstrualne ilości. W końcu mieszka nad morzem! Jeszcze długo po jej wyjeździe rodzina korzysta z przywiezionych zapasów. Na ogół jedzenie meksykańskie jest smaczne, ale tuczące, no i pikantne. Na tyle ostre, że Monika nie miałaby sumienia karmić nim Aleksa. *To, co Polakowi wydaje się pikantne, dla Meksykanina jest mdłe w smaku* – mówi.

Kiedy po raz pierwszy chciała ugotować zupę jarzynową, okazało się, że nigdzie nie może kupić pietruszki. W Meksyku pietruszka sprowadza się tylko do natki (rolę natki pietruszki przejęła tam kolendra *cilantro*, którą dodaje się do wielu potraw). Teraz Monika już sobie radzi z takimi niedogodnościami. Przyzwyczaiła się także do zakupów na targu mięsnym. Nawet je polubiła, choć wizualnie stragany z kurczakami nie są wzorem estetycznym. Nie ma lad chłodniczych, lodówek i innych elementów, które kojarzą się ze sklepem mięsnym. Jest jednak stosunkowo czysto i niewątpliwie kompetentny sprzedawca, który na oczach klienta porcjuje kurczaka, od razu pyta, na co jest przeznaczona konkretna część. Jak na kotlety, to od razu je ubija. Monika chwali sobie taką obsługę.

Eryk z synem

Natura w Meksyku jest piękna i niebezpieczna. Mexico City leży na ponad 2 tysiącach metrów nad poziomem morza, więc kiedy zaczyna się w kwietniu pora deszczowa, czyli czas huraganów, w metropolii na szczęście tylko leje kilka dni. Najgorzej jest na wybrzeżu, gdzie ludzie tracą domy a czasem życie. Ale w stolicy bywa niebezpiecznie z innego powodu – trzęsień ziemi. Monika przeżyła już dwa. Dzięki Bogu skończyło się na strachu. Jedno z nich pojawiło się w nocy. Siedziała przy komputerze, kiedy zaczęło trząść się pod nią krzesło. Jeszcze nie była pewna, że trzęsie się również ziemia. W kuchni mają swoisty sejsmograf, czyli galon z wodą. Kiedy i tam zobaczyła falującą ciecz, wpadła w panikę, chciała zabierać dzieci i uciekać. Jednak Eryk, przyzwyczajony do wybryków natury, uspokoił ją, że to zaraz przejdzie. Faktycznie po kilkudziesięciu sekundach było po wszystkim. Ich dzielnica, usytuowana na skałach, jest w miarę bezpieczna, jednak zabytkowe centrum niejednokrotnie bardzo ucierpiało. Śladem tego są popękane ściany kościołów, krzywe posadzki…

Odpoczywające małżeństwo na ulicy Mexico City

Inną atrakcja Mexico City jest widoczny z kilkudziesięciu kilometrów wulkan, zwany pieszczotliwie El Popo. Piękny, z ośnieżonym szczytem, co pewien czas przypomina o sile natury wyrzucanym z krateru gazem i popiołami. Mieszkańcy stolicy są bezpieczni, ale żyjący bliżej wulkanu osiem lat temu w pośpiechu opuszczali swe domy, bo El Popo obudził się z krótkiej drzemki. Monice nie przeszkadza trzęsienie ziemi ani El Popo, najbardziej boi się tłustych pająków, które bywają również jadowite. Nie zabijają, ale utrudniają życie. *Kiedy robi się wilgotno, robactwo staje się bardzo dorodne* – mówi Monika. *Na szczęście w mieście mamy z nimi spokój. Nawet z bloku wypleniliśmy już mrówki, które bywają zmorą wielu mieszkań* – dodaje z dumą.

Kiedy pytam Monikę, czy Meksyk jest miejscem, w którym chciałaby żyć, mówi: *Chciałabym wrócić do Polski, choć to będzie trudne ze względu na pracę Eryka. W kraju naprawdę dużo zmieniło się na plus. Ci, co tu mieszkają, narzekają, bo wielu rzeczy nie widzą. Niech się rozejrzą! Jedyne, co mnie i Erykowi przeszkadza, to wyraz twarzy moich rodaków. Jesteśmy smutnym narodem z zaciętymi twarzami, bez uśmiechu. Nawet Eryk nie mógł pojąć, dlaczego wszyscy mówią, że Polki są ładne. Przecież co druga wygląda, jakby chciała zabić – mówił.*

Iwona Pawłowska

Rada Miejska

Na prośbę burmistrza, **Ireneusza Żurawskiego**, wyrażoną na poprzedniej sesji RM, przewodniczący **Andrzej Zając** zwołał rajców na kolejne posiedzenie, w dniu 17 lipca 2008. Udział wzięło 12. radnych (2. nieobecnych) oraz strona „rządowa" w pełnym składzie.

W **inforacji o pracy między sesjami**, Burmistrz pomieścił główne działania, w tym min.: remont ulicy WP i H. Brodatego, rozmieszczenie nowych słupów ogłoszeniowych, przetarg na sygnalizację świetlną na skrzyżowaniu ulicy WP i Górniczej, wodociągi przy ul. Leszczyńskiej, renowację Fontanny Górników i Fontanny Delfina, rozbudowę sali gimnastycznej SP1; poiformował również radnych, że Sąd Rejonowy w Złotoryi oddalił pozew Pana Sawy.

Jak na sezon ogórkowy radni zgłosili sporo **wniosków i interpelacji: Barbara Listwan** – pytała, czy istnieje plan budowy drogi łączącej ul. Asnyka z Górniczą; **Kinga Maciejak** – zwracała uwagę, ażeby w trosce o wizerunek miasta uporządkować plac po wyburzeniu budynku na skrzyżowaniu ul. Sienkiewicza z ul.Konopnickiej oraz usunąć trawę z ul. Mickiewicza; **Wiesława Żak** – ponowiła apel o przeniesienie szafki energetycznej z ul. WP, zgłosiła potrzebę wymiany kiosku (na nowocześniejszy) przy pl. Reymonta, elektrycy założyli na lampy brudne klosze przy ul. Słowackiego, sugerowała aby Straż Miejska rychło wprowadziła się do nowej siedziby (do Ratusza), co powinno skutecznie ukrócić rozrabiackie wyczyny w centrum miasta; **Bogdan Łoś** – zwracał uwagę na zły stan chodnika przy ul. Garbarskiej i kiepski stan nawierzchni ul. Broniewskiego; przewodniczący **A. Zając** zgłosił dwie sprawy – pyta jakie elementy zawiera projekt modernizacji ul. Górniczej i wnioskuje zmianę „obsypki" Fontanny Delfina, gdyż to, co zrobiono, koliduje z pięknie przeprowadzoną modernizacją zabytku *(pochodzi z roku 1604, ufundowany przez burmistrza J. Feige)*.

Punkt ciężkości sesji stanowił **pakiet uchwał** – było ich w sumie siedem; wszystkie dotyczyły spraw finansowo – budżetowo – gospodarczych. Mimo złożoności materii i trudnych dyskusji na komisjach (szczególnie w sprawie zaciągnięcia kredytu w wysokości 500 tys. zł na sfinansowanie deficytu budżetowego), radni byli wyjątkowo zgodni – 5 uchwał przyjęli jednogłośnie, a uchwałę w sprawie wieloletniego programu gospodarowania miejskimi zasobami mieszkaniowymi przy jednym głosie wstrzymującym się (**R. Gorzkowskiego).** Dłuższą wymianę zdań wywołała uchwała w sprawie wniosku ks. proboszcza **Mariana Sobczyka** o dotację na renowację Kościoła św. Jadwigi. Zabierającym głos w tej sprawie nie chodziło o to, czy dotację przyznać, czy nie. Radni mieli wątpliwości (7. radnych), czy z dotacji na tak sfomułowny wniosek („Kościół św. Jadwigi") wnioskodawca będzie mógł pokrywać należności za inne prace, np. przy Kościele św. Mikołaja i prawidłowo pod względem formalnym rozliczyć się z dotacji. Ostatecznie przy jednym głosie przeciwnym (Krystyna Widulińska) radni przyznali 100 tys. zł dotacji „na prace konserwatorskie, restauratorskie i roboty budowlane przy zabytkach wpisanych do rejestru zabytków".

Słownik

Komisje i diety radnych

Wydaje się nieraz, że sesje są nudne, ospałe, nic się w ich trakcie nie dzieje. Jest to jednak efekt tego, że radni „przepracowali" tematy sesyjne już na posiedzeniach komisji – tu radni boksują się i walczą o każde sformułowanie, o każdy procent. Tylko najbardziej czupurni rajcowie nie mogąc przekonać komisji przenoszą swoje „odrębne słowo" na forum rady i wywołują nieraz ostre starcia w trakcie sesji.Za udział w posiedzeniu rady oraz za pracę w komisji radny otrzymuje tzw. dietę. W poprzednich dwóch numerach „EZ" informowaliśmy czytelników o uposażeniach Starosty i Burmistrza – dzisiaj dla równowagi przekazujemy podstawowe informacje na temat diet radnych.

Pozyskanie tych informacji nie sprawiło mi żadnych problemów tylko w gminie. Na podstawie uzyskanych w różny sposób danych kwestia powyższa przedstawia się następująco:

** Dieta radnego za udział w jednym posiedzeniu rady oraz za jedno posiedzenie komisji:*

- w gminie po 205 zł (x ilość posiedzeń)
- w mieście po ok. 220 zł (x ilość posiedzeń)

Dieta przewodniczących komisji jest ok. 20 zł wyższa.

** Przewodniczący rady otrzymują miesięczne ryczałty:*

- w gminie ok. 1320 zł.
- w mieście ok. 1900 zł.

Niejednokrotnie radni muszą brać udział w pracach nie tylko jednej komisji. W łonie Rady Gminy funkcjonują cztery komisje i 14. radnych działa w dwóch komisjach; w mieście odpowiednio: 14. radnych, 5 komisji, prawie wszyscy pracują w trzech komisjach, a troje nawet w czterech; w powiecie – 5 komisji i 7. radnych zasiada w dwóch komisjach Rozwiązanie miejskie jest być może kosztowniejsze, lecz dzięki udziałowi w trzech lub czterech komisjach rajcowie miejscy pozyskują gruntowniejszą wiedzę w różnych dziedzinach dotyczących miasta i kompetentniej mogą następnie coś „przyklepać" lub wyrazić sprzeciw.

Dieta radnych Rady Powiatu jest wypłacana w okresach miesięcznych na podst. art. 21, ust. 4 i 5 ustawy z dn. 5 czerwca 1998 (Dz. U. z 2001, nr 142, poz. 1592). Zgodnie z tą ustawą oraz uchwałą RP, przewodniczący RP otrzymuje 100%, wiceprzewodniczący komisji RP – 80%, a pozostali radni – 70% „półtorakrotności kwoty bazowej określonej w ustawie budżetowej dla osób zajmujących kierownicze stanowiska, na podstawie przepisów ustawy z dnia 23 XII 1999 o kształtowaniu wynagrodzeń w sferze budżetowej (Dz. U. nr 19/2008)".

Generalnie diety radnych różnych szczebli są porównywalne. Nigdy nie osiągniemy zgodności czy są one w sam raz, za niskie, czy za wysokie. Zgodni natomiast będziemy w opinii, że bardzo dobry wójt, burmistrz, starosta (średniacy nie są nam potrzebni) i bardzo dobrzy radni (inni też nie są potrzebni) – powinni zarabiać (lub otrzymywać diety) bardzo dobrze. Naszym obowiązkiem jest, abyśmy takich bardzo dobrych, i tylko takich, wybierali. A jak już takich wybierzemy (lub już wybraliśmy) nie zazdrośćmy im ani uposażenia, ani diet. Nie wszystko trzeba i nie wszystko da się przeliczać na pieniądze. W wyborach samorządowych niekoniecznie musimy wybierać autorytety moralne, lecz roztropnych, uczciwych i kompetentnych włodarzy. I rajców także; nie małostkowych ale takich, którzy rozsądnie potrafią wcielić w życie maksymę: myśleć globalnie – działać lokalnie. Ku pokrzepieniu serc naszych wyborców pragnę dodać, że nasi rajcowie różnych szczebli nie demonstrują postaw, w których celują posłowie (zachowując się niegodnie swojej funkcji). Takiego repertuaru awantur, agresji i zwykłych świństw nie wymyśliliby szlachcice Polski przedrozbiorowej. Na naszych salach obrad tego nie ma. I chwała Najwyższemu. Dlatego boję się powrotu parlamentarzystów na ulicę Wiejską, natomiast ze spokojem i zaufaniem oczekuję powrotu na salę obrad naszych rajców.

Ratusz.

Wg encyklopedii Orgelbranda, z niem. „Rathaus", dom rady miejskiej, „przeznaczony na sądy i zebrania rady miejskiej. Stawiano go zwykle w pośrodku rynków. /.../ Za Zygmunta I zwano je po staroświecku wiecnica lub wietnic a od wieców czyli sądów, później cudzoziemski wyraz zatarł dawny /.../". Ale jeszcze w XV w. w Polsce używano terminu starego, który może oznaczać tyle co mównica. Złotoryja, której Henryk I Brodaty nadał nowoczesne prawa magdeburskie (1211) znajdowała się już w tym czasie w kręgu, i pod coraz silniejszym wpływem kultury zachodniej, niemieckiej. Od 1526 Śląsk przejmują Habsburgowie, lecz w Księstwie Legnickim nadal rządzą Piastowie – do 1675. Ratusz to duma miasta i mieszczan – tu biło serce miasta.

Pierwszy ratusz w Złotoryi ma rodowód piastowski (1327, „powstała skromna budowla", 1580 burmistrz Johannes Helmrich postawił pierwszy ratusz w kamieniu). Wszyscy burmistrzowie, jakiego by pochodzenia nie byli, rezydowali i sprawowali swój zaszczytny urząd w ratuszu. Piastowskiego rodowodu ratusza nie brzydzili się więc burmistrzowie z „nadania" czeskiego, habsburskiego, pruskiego czy wreszcie niemieckiego. Pogardziła nim – o ironio! – polska władza ludowa, która tak wiele mówiła o powrocie piastowskich Ziem Zachodnich do Macierzy. „Pogardziła" – to źle powiedziane; ona także doceniała rolę ratusza jako centrum i dlatego ulokowała tu „kierowniczą siłę narodu i państwa" – PZPR. Już 63 lata burmistrzowie Złotoryi i rady miejskie znajdują się „na wygnaniu" – z tego już 20 lat dobrowolnie. Ale na przełomie 1989/90 wiele się przecież zmieniło. I wtedy ówczesne władze miasta, które „wyprowadziły" ze Złotoryi wielu patronów ulic (także S. Okrzeję) miały najlepszą okazję, aby przenieść się na ratusz. Wierzę, że krok w tym kierunku uczyni Ireneusz Żurawski (jeśli nastąpi to przed przeniesieniem mnie w „inne miejsce", zgłaszam się do przeniesienia fotela burmistrza pod właściwy adres – rynek 42). Jeśli symbole mają mieć jeszcze jakąś wartość – to zróbmy to, choć sprawa nie jest dziś łatwa ani prosta.

Wielu współczesnych złotoryjan już nawet nie wie, gdzie jest ratusz – „instynktownie" wskazują na budynek, w którym urzęduje burmistrz. I tu odzywa się złośliwy chichot historii. Wyjaśnijmy więc, że w Złotoryi jest jeden ratusz – Rynek 42. (co oznacza podtytuł w „GZ" „ratusz dofinansuje" – Urząd Skarbowy? Bank?). I tam powinien urzędować burmistrz. W budynku, w którym faktycznie urzęduje, Plac Orląt Lwowskich (dawniej KRN – i wtedy się zgadzało!) przed wojną były władze powiatu złotoryjsko – chojnowskiego. Natomiast gmach zajmowany obecnie przez Starostwo Powiatowe przed wojną zajmowała Kasa Chorych, a po wojnie (do lat 90.) – Ośrodek Zdrowia.

Alfred Michler

Odeszli i odjechali

W krótkim odstępie czasu Anioł Śmierci wyrwał z naszych szeregów dwóch ofiarnych i cenionych działaczy Ziemi Złotoryjskiej. Wzywając ich do siebie oznajmił im, że ich włodarzenie na tym ziemskim padole dobiegło końca i muszą teraz przed Najwyższym „zdać sprawę z włodarstwa swego". Wierzymy, że „bilans" ich życia spodoba się Panu.

Pan Franciszek

Pan Franciszek

Tak w gronie TMZZ nazywaliśmy Franciszka Kostusia. Nie zdrobniale, nie z nazwiska lecz pełnym imieniem. W ten sposób wyrażaliśmy i szacunek dla Niego ale i bliskość. Pan Franciszek nie był formalnie członkiem TMZZ; nie złożył deklaracji i nie nosił naszej legitymacji. Zagadnięty w tej sprawie odpowiedział, że ważniejsze od tego będzie, że będziemy mogli ze sobą współpracować. I tak właśnie było.

Był człowiekiem niezwyczajnie aktywnym. W uśpionym zazwyczaj środowisku wiejskim wyróżniał się pod tym względem znakomicie. Ale nie tylko w tym środowisku; do działalności o szerszym zakresie zawsze wnosił coś od siebie. Nie tylko w Prusicach zachowają go w dobrej pamięci jako niezapomnianego i niezastąpionego przewodniczącego Komitetu Rodzicielskiego.

Ukochał swoją drugą ojczyznę – Prusice i wiele dobrego dla niej uczynił, lecz w sercu nosił tę pierwszą – Biskowice na Kresach. Na Śląsku, w Prusicach, pojawił się dokładnie 12 kwietnia 1946 r. Przybył tu jako młody osadnik wojskowy. I tu pozostał. Założył rodzinę. I to w jego życiu było najważniejsze. Swoją wiarę, przywiązanie do zasad chrześcijaństwa, dokumentował nie tylko modlitwą, lecz swoje ideały „wyznawał" w praktyce: kochał swoją rodzinę, swoje córki – był z nich dumny.

Przed kilku laty dał się namówić do udziału w I konkursie literackim na temat Kresów Wschodnich. Niełatwo było go przekonać, gdyż uważał że 80-latkowi „ciężko już idzie pisanie". Wystartował jednak i tak się „rozkręcił" iż odtąd(od 2002 r.) uczestniczył we wszystkich edycjach i zawsze w swojej kategorii wiekowej zajmował pierwsze miejsca. Chociaż nie o miejsce tu chodziło – wspomnienia Pana Franciszka to skarbnica wiedzy o Kresach.

Pan Franciszek mimo nie najlepszego już zdrowia, do końca swoich dni uczestniczył w życiu wsi. Mógł jako Polak i żołnierz nosić w sobie awersję do przedstawicieli narodu, którzy Polakowi zadali tak nieuleczalnie głębokie rany. I pewnie tak było. Lecz kiedy dwa lata temu do Prusic przyjechali Prausnitzerzy – wyszedł przed dom, aby się z nimi przywitać. I nie tylko – poczęstował ich swoimi wiśniami. Kiedy wyjaśniłem to siedzącemu na wózku inwalidzkim 90-letniemu Prausnitzerowi, ten długo nie mógł opanować swojego wzruszenia. Bo to był właśnie Pan Franciszek – On tak zrozumiał i pojmował głęboko chrześcijańskie orędzie biskupów polskich z 1965 r.

Pan Franciszek to też polemiczny temperament. Jeszcze na 6 tygodni przed śmiercią, kiedy w Prusicach sadziliśmy „dęby pokoju" – także z udziałem byłych mieszkańców, Pan Franciszek, choć już słaby, również uczestniczył w tym wydarzeniu w pełnym zakresie. I kiedy po ekumenicznej modlitwie o pokój w kościele i posadzeniu dębów spotkaliśmy się następnie w świetlicy, Pan Franciszek prawdopodobnie po raz ostatni wystąpił oficjalnie (15 VI 2008). Nigdy nie potrafił być tylko biernym słuchaczem lub uczestnikiem. Zabrał głos – barwnie i dynamicznie, polemicznie a ugodowo, bardzo spontanicznie ale i rozważnie, krytycznie ale nie małostkowo. Przypomniał o przewinach gości, lecz i nie odpuścił Rosjanom oraz aliantom, wypomniał polskie przywary i błędy. Bardzo się Pan Franciszek w trakcie tego wystąpienia spieszył – jakby się obawiał, iż nie zdoła go dokończyć. Dokończył i zebrał gromkie brawa. Nie dokończył udziału w kolejnej edycji konkursu o Kresach… zrobi to już na „drugim brzegu" – tam też są ciekawi jego wspomnień.

Pan Franciszek spoczął 9 sierpnia 2008 r. na wiejskim cmentarzu przykościelnym w Prusicach obok swojej matki.

Franciszek Kostuś (1922-2008)

Heniek

Wśród członków naszego stowarzyszenia był Heńkiem – tak po prostu. *Nie panuj mi tu – Heniek jestem* – tak mówił. Ruchliwy i szybki, zawsze do dyspozycji – *nie ma sprawy.*

Sąsiedzi i znajomi wiele mogliby powiedzieć o jego gotowości do przyjścia komuś z pomocą. Dzielnie pokonywał swoje słabości, czego niejedni mogą mu pozazdrościć, a wiara i działalność społeczna w tym mu pomagały.

Szczególnie angażował się w dziedzinie sportu i turystyki. Nieobca mu była żadna większa trasa, a nawet ścieżynka nie tylko na Ziemi Złotoryjskiej, lecz także na Dolnym Śląsku a nawet poza nim. Brał udział w zawodach kolarskich i biegach. Nazwisko Heńka znajdujemy wśród rekordzistów Szkoły Podstawowej w Wilkowie, której był absolwentem. Brał systematyczny udział w złotoryjskich biegach ulicznych - Memoriale Tadeusza Pietroszka i w swojej kategorii wiekowej prawie zawsze okazywał się zwycięzcą. Reprezentował nasze miasto w wyścigach kolarskich w czeskim Mimoniu, dokąd docierał oczywiście rowerem.

Z TMZZ współpracował od kilkunastu lat. Był naszym człowiekiem, gdyż nigdy nie stronił od pracy społecznej. Zawsze można Go było spotkać na trasach naszych Rajdów Jadwiżańskich – pieszego i tych rowerowych. Z uwagi na umiejętności oraz znajomość tras pełnił funkcję komandora tych ostatnich. Nawet dorośli rowerzyści w jego towarzystwie czuli się pewniej i bezpieczniej.

Mówi się, że ludzie odchodzą. W przypadku Heńka właściwiej będzie powiedzieć, iż On odjechał. Śmierć dosięgła bowiem w okolicach Żagania, gdy przemierzał na swoim dwukołowym rumaku Bory Dolnośląskie. Znów jakiś bezmyślny kierowca „nie dostosował prędkości i odległości" do warunków jazdy. Dlatego Heniek umarł – leżał przez kilka tygodni nie odzyskawszy przytomności. W jego planach pozostała rowerowa lub piesza pielgrzymka Drogą św. Jakuba. Jesteśmy pewni, że teraz jest bliżej świętego Jakuba, niż ktokolwiek z nas.

Został pochowany w dniu 11. sierpnia 2008 r. na cmentarzu komunalnym p.w. św. Jadwigi w Złotoryi.

Ziemia przechowuje prochy – człowiek zachowuje pamięć. Jeśli choćby część osób z tych, które uczestniczyły w ostatniej drodze Pana Franciszka oraz Heńka (zarówno kościół św. Jadwigi w Prusicach jak i złotoryjski kościół św. Mikołaja były przepełnione) zachowało Ich w swojej wdzięcznej pamięci – to byłoby wspaniale. Obydwaj na to zasługują. Wiele dobrego uczynili dla Ziemi Złotoryjskiej, więc niechaj Im teraz ona lekka będzie. Cześć Ich pamięci!

Henryk Kopciewicz (1942-2008)

W imieniu przyjaciół i znajomych
Alfred Michler
Roman Gorzkowski

Polacy w złotoryjskim garnizonie

Przed wybuchem I wojny trudno było przewidzieć, iż Złotoryja stanie się znów(poprzednio w okresie napoleońskim) miastem garnizonowym.

Po ogłoszeniu stanu oblężenia w sierpniu 1914, część Dolnego Śląska (teren Legnicy, Zgorzelca i Głogowa) znalazła się pod władzą administracyjną dowództwa Korpusu V Armii z kwaterą główną w Poznaniu. Decyzja o zorganizowaniu w Złotoryi i Chojnowie ćwiczebnych garnizonów zapadła najprawdopodobniej już na przełomie 1914 i 1915 r. Podlegały większemu garnizonowi w wielkopolskim Krotoszynie, gdzie stacjonował Zachodniopruski 37. Pułk Piechoty im. Steinmetza. Żołnierze tego pułku przeżyli chrzest bojowy 22. sierpnia 1914 r. w bitwie pod Longwy we Francji. W rocznice tego wydarzenia złotoryjski garnizon zbierać się będzie na apelu w oflagowanej miejskiej sali gimnastycznej a w Rynku odbywać się będą koncerty kapeli garnizonowej.

Wiadomość „Przyjmujemy żołnierzy!" obiegła miasto w pierwsze wojenne Boże Narodzenie. Na początku lutego 1915 r. magistrat zaczął przyjmować oferty kwater a pierwsi rekruci pojawili się 18 lutego. Zostali zakwaterowani głównie w dzisiejszym budynku Straży Pożarnej przy ul. S. Staszica i strzelnicach przy Pl. Lipowym (dziś Pl. Sprzymierzeńców, strzelnice już nie istnieją) a oficerowie przeważnie w mieszkaniach prywatnych w Rynku i przyległych do niego ulicach. Lazaret pułkowy mieścił się w szkole ewangelickiej. Miasto ponosiło z tego tytułu określone koszty. Np. w kwietniu 1915 r. mówiło się na posiedzeniu rady miejskiej, iż do nieprzewidzianych wojennych wydatków, wynoszących 1 050 marek, doszło następnych 470 związanych z garnizonem.

W oficjalnej nomenklaturze stacjonował w Złotoryi II Batalion Rezerwowy 37. Pułku Piechoty, składający się z różnych pododdziałów. Rekruci, pochodzący z wielu miast niemieckich(i nie tylko, jak się niebawem przekonamy), przechodzili tutaj pierwsze przeszkolenie. Następnie odchodzili do Krotoszyna, innych garnizonów lub na front. Erich Paulick pisał do Berlina: *Poznań niedziela 4 lipca 1915. Moja Droga Emmo! Jestem teraz o 4 godzinie rano tutaj w Poznaniu w drodze do Złotoryi* [w oryginale oczywiście *Goldberg* – RG]. *W Złotoryi będziemy zapewne około godziny 12.00. U mnie wszystko w porządku, mam nadzieję że u was też. Dużo serdecznych pozdrowień i całusów dla was. O 1.30 odmaszerowaliśmy z Wartelager, skąd o 3.45 odjechaliśmy. Jeszcze raz dużo pozdrowień i całusów.* Nie wszyscy wytrzymywali służbę. W lipcu 1915 r. starosta złotoryjski wysłał list gończy za piechurem Richardem Bergerem, który *bezpodstawnie* opuścił tutejszy garnizon. Mieszkał w Warcie, miał 35 lat, nosił *angielski wąsik i miał trochę zaczerwieniony nos*.

Ćwiczenia odbywały się przede wszystkim na wspomnianym Placu Lipowym oraz w przyległych do niego strzelnicach. Na terenach na północny zachód od miasta drążono okopy, rozwijano tyraliery, zakładano maski przeciwgazowe itp. Podczas ostrych strzelań, np. w listopadzie 1917 r. w okolicach Wilkowa i Wilczej Góry, ostrzegano mieszkańców i uniemożliwiano wstęp na teren zajęty przez wojsko. Ogromne zainteresowanie mieszkańców budziły, przynajmniej w początkowym okresie, przemarsze oddziałów przez miasto, musztra w Rynku oraz, jak już wiemy, koncerty orkiestry garnizonowej. Zachowała się fotografia z 1916 r., na której razem z żołnierzami jednego z pododdziałów pozuje dwóch małych chłopców. Dłuższe żołnierskie marsze zahaczały często o restaurację na Wilczej Górze, gdzie korzystano z okazji, aby nadać widokówkę do rodziny. Gdy we wrześniu 1916 r. wylądował pod miastem wojskowy samolot, okazało się, że jego załoga(oficer i piechur) służyli wcześniej w tutejszym garnizonie. Batalion mógł liczyć na pomoc finansową i żywnościową złotoryjskich organizacji społecznych, które nie zapominały o nim podczas często organizowanych zbiórek. W intencji żołnierzy odprawiano nabożeństwa zarówno w parafii ewangelickiej (kościół Mariacki) jak i katolickiej (kościół św. Jadwigi). W styczniu 1916 r. wizytował garnizon generał von Bock z dowództwa V. Armii w Poznaniu. Zatrzymał się w hotelu „Trzy Góry", gdzie na jego cześć wydano przyjęcie z udziałem korpusu oficerskiego oraz osób cywilnych. Jeden z żołnierzy odnowił malowidła w ratuszu, przedstawiające dawniejszych rajców, a lejtnant Golde w marcu 1916 r. wygłosił odczyt na temat aktualnej sytuacji na wojnie. Wyjazdom kolejnych grup żołnierzy na front towarzyszył zapewne nie tylko optymizm młodych żołnierzy, ale również westchnienia niektórych złotoryjanek. Przecież wspólnie odwiedzano restauracje i chodzono na spacery.

Setki żołnierzy wysyłały z garnizonu kartki i listy do domów. Oto fragmenty korespondencji(oryginały w języku niemieckim), pochodzącej ze zbiorów członków złotoryjskiego Klubu Kolekcjonera:

a/ Julius[nazwisko nieznane] do landwerzysty Wilhelma Wüstenhagena „na tyłach samochodowych Park 9 Wschód", 7 marca 1915: *Drogi Bracie! W spokoju piszę do Ciebie kilka wierszy. Nie jesteśmy już w Poznaniu, lecz znowu na Śląsku. Jest tutaj całkiem ładnie i górzyście*[…]*Leżę w lazarecie, mam w przybliżeniu ciężką grypę*[…].

b/ Georg Klein do Alterkendorf w powiecie Strassburg, 29 maja 1915: *Moja droga żono! List Twój z 27. otrzymałem i widzę, że wszyscy jesteście zdrowi, co i u mnie na razie tak samo. Wczoraj rano znowu mieliśmy marsz około 25 km, ale nie był to jeszcze najdłuższy*[…]*Do zobaczenia w Ojczyźnie.*

c/ Arthur Lessing do Berlina, 15 lipca 1915: *Kochana Mamo i Siostro! List z 5 markami otrzymałem. Potrzebowałbym szalik i kilka par skarpet[…] Czekoladek jeszcze nie otrzymałem[…].*

d/ August Peter do Bützelhausen koło Strasburga w Alzacji, 30 sierpnia 1915: *Panie Schuller! Mam nadzieję, że Panu i Pańskiej rodzinie wiedzie się dobrze, podobnie jak i mnie. Słyszałem, że powrócił wasz syn. Życzę mu szczęścia i tego, aby nieprędko został znów powołany. Jestem w batalionie muzycznym, cieszę się, że mogę grać, co Panu zawdzięczam[…].* Nadawca podpisywał się często *Peter Musiker*. Na widokówkach czynił niekiedy dopiski, np.: *Hotel, gdzie gramy w każdy dzień*(„Trzy Góry"), *To plac, gdzie będę grać jutro*(Dolny Rynek), *Przed tym hotelem grałem na Zielone Święta*(restauracja na Górze Mieszczańskiej). W sierpniu 1916 r. np. pisał m.in. do Florentyny Eby w Bützelhausen: *Twój ostatni list ma numer 42…Dziś mamy koncert w Jerzmanicach Zdroju.* Ostatnią znaną nam kartkę wysłał do niej w kwietniu 1917 r.

e/ Carl Schmidt do Strassburga, 4 września 1915: *Wielce Szanowny Panie Jacob! Niniejszym przesyłam Panu małą fotografię naszego oddziału; to wszystko są alzaccy koledzy i, jak Pan dobrze widzi, są wszyscy koledzy z Breisach*[…]*Mnie znajdzie Pan w lewym rogu u góry. Może Pan pomyśleć, że my wszyscy jesteśmy wesołym towarzystwem z kochanej ojczyzny*[…].

f/ Brat i ojciec do Franza Lincke w Cottbus, 23 marca 1916: *Przed moim wyjazdem w pole, przesyłam Tobie, mój drogi chłopcze, raz jeszcze serdeczne pożegnalne życzenia.*

Można sądzić, że co najmniej kilkudziesięciu rekrutów było Polakami i pochodziło z Wielkopolski. Znów odwołajmy się do korespondencji, której tym razem nie trzeba tłumaczyć(zachowujemy oryginalną pisownię):

a/ Podoficer K. Borowicz do Reńska koło Wielichowa w wielkopolskim powiecie Śmigiel, Zł.[ota]G.[óra] 20 maja 1915: *Najdr. Mamo i Walerciu! Dziękuję najserdeczniej za pieniądze, które dziś odebrałem. Oczekuję listu z domu, gazet. U mnie nic nowego, zdrów jestem i nie wiem o czem pisać. Miałaby najdr. Mama z Walerią mnie nie odwiedzić, natenczas przesyłam życzenia zdrowych świąt. Polecając najdr. Mamę i Walerię opiece Boga Najmiłościwszego całuję rączki i ściskam najserdecz. szczerze kochający syn i brat.* Według wiadomości, jakie udało się uzyskać autorowi od proboszcza z Reńska, rodzina Borowiczów wyprowadziła się stamtąd już przed 1945 r. Mieszkała w leśniczówce.

b/ nieznany z imienia żołnierz do Ag. Matyjasik w Gołuchowie w powiecie pleszewskim, 8 czerwca 1915: *Droga Guciu! Uprzejmie ci dziękuję z kart i wiadomość. Przysyłam ci serdeczne pozdrowienie z Góry Kamienej. Puzniej napisze ci więcej. Poz. dla Rodziców. Serdeczne uściski całuski.* Nadawca kartki był zapewne szeregowcem, kaleczącym język niemiecki. Nazwę Goldberg tłumaczy jako Górę Kamienną.

c/ nieznany z imienia żołnierz do Zofii Przyworskiej w Poznaniu, 21 maja 1916: *Kochana Zosiu, karte od ciebie otrzymałem i donosze tobie irz Ja tagrze dzisiaj jestem na majuwce tu na tych gurach. Tu jest bardzo ładnie. Mamy dzisiaj spacer z lazaretu, i jesteśmy teraz właśnie przy kawie. Zasyłam pozdr. dla wszystkich. Tagrze dla tej panienki co się podpisała.*

W kwietniu 1915 r. złotoryjskie Bractwo Strzeleckie zorganizowało zawody z okazji zaciętej bitwy na Mazurach. Zaproszeni zostali również żołnierze z garnizonu. Pierwszą nagrodę, portret cesarza, zdobył sierżant Stefański.

W październiku 1916 r. dokwaterowano do garnizonu I Batalion Rezerwowy 37. Pułku Piechoty, stacjonujący dotychczas w Chojnowie. Obie te formacje wraz z kompanią ozdrowieńców opuściły Złotoryję 13. maja 1917 r., udając się do macierzystego garnizonu w Krotoszynie. Odeszła również orkiestra wojskowa. Skończyły się niestety większe dochody z kwater i dostaw dla wojska. Na miejsce przybył 150-osobowy Batalion Rezerwowy 7. Pułku Landwehry z Legnicy. Pozostanie w mieście aż do zakończenia wojny. Ci nowi żołnierze także mogli liczyć na pomoc mieszkańców. A potrzeby mieli różne, np. w październiku 1917r. prosili za pośrednictwem prasy o ręczną harmonię.

Przez złotoryjski garnizon przewinąć się mogło nawet około tysiąca rekrutów. Ich dalsze losy, po odbytych tutaj ćwiczeniach, były zapewne niewesołe. Nie znamy jednak szczegółów. Więcej wiemy o złotoryjanach, powołanych do innych jednostek wojskowych. Od sierpnia 1914 do listopada 1919 r. poległo ich lub zmarło z ran oraz w innych wojennych okolicznościach 185. Ginęli na wszystkich najważniejszych frontach I wojny i w wielu decydujących bitwach, np. pod Verdun. Umierali podczas walk na lądzie i powietrzu, nalotów, ostrzału artyleryjskiego, transportów, w drodze do lazaretów, w rosyjskiej, francuskiej lub rumuńskiej niewoli, także w domu rodzinnym oraz w innych miejscach. Mieli od 18 do 51 lat. Większość to dwudziestoparoletni mężczyźni, kilku dopiero co ukończyło 18 lub 19 lat. Przeważnie nie mieli jeszcze rodzin, lecz wielu z nich pozostawiło żony i dzieci. Czy złotoryjanie wyciągnęli wnioski z tej okrutnej wojny? Wydaje się, że czuli się później, jak zresztą większość Niemców, bardziej pokrzywdzeni przez zwycięzców niż winni tej hekatomby. Już kilkanaście lat później, również w Złotoryi, te nastroje świetnie wykorzystają faszyści.

Roman Gorzkowski

Kącik starej widokówki

Pułkowe opowieści

W okresie napoleońskim walczyło w okolicach naszego miasta bardzo wiele oddziałów francuskich, o czym pisaliśmy w Echu równo rok temu. Niektóre z nich wzięły udział w krwawej bitwie o Wilczą Górę i miasto w dniu 23. sierpnia 1813 r.. Dla wielu formacji wojskowych była to bardzo ważna bitwa, warta zapisania nie tylko w pułkowych kronikach.

Całkiem niedawno zbiory jednego z tutejszych kolekcjonerów wzbogaciła bardzo ciekawa karta pocztowa, wydana we Francji zapewne najpóźniej w pierwszych latach XX wieku. Jak wynika z umieszczonych na niej napisów, 146 pułk piechoty serią takich pocztówek upamiętnił swój szlak bojowy nie tylko na terytorium ojczyzny. Na prezentowanej karcie obok postaci żołnierza, pod nazwą pułku widnieje napis „Goldberg 1813". Opracowania historyczne, poświęcone dziejom Śląsku, potwierdzają udział tej właśnie jednostki w bitwie o Złotoryję latem tego roku. Nie mieliśmy do tej pory pojęcia, że w taki sposób o naszej miejscowości pamiętano w dalekiej Francji przynajmniej w XIX i XX wieku.

Roman Gorzkowski

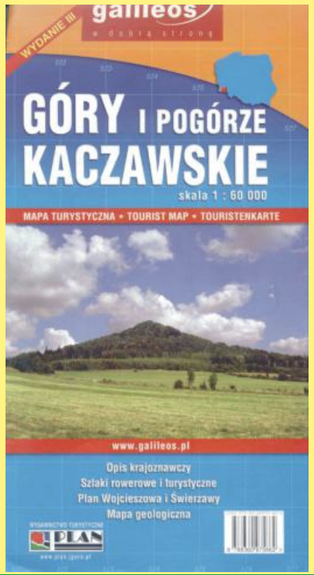

Warto przeczytać

Bez mapy jak bez ręki

Nową edycję mapy Góry i Pogórze Kaczawskie (Wydawnictwo Turystyczne Plan z Jeleniej Góry, 2008) nie tylko warto przejrzeć ale trzeba dołączyć do swojej regionalnej kolekcji. W porównaniu z poprzednimi wydaniami poszerzono obszar mapy – sięga teraz po Lwówek Śląski i Legnicę. Dodano m.in. graficzne oznaczenia rezerwatów i wybranych zabytków oraz symbole niektórych cyklicznych imprez, z których słynie region. Szkoda jednak, że nie zaznaczono Drogi św. Jakuba i Ścieżki św. Jadwigi. Miejmy nadzieję, że znajdą się w kolejnym wydaniu mapy.

Roman Gorzkowski

Historia jednej fotografii

Miło nam powiadomić, że nasi Czytelnicy nadesłali kolejne odpowiedzi dotyczące fotografii zamieszczanych w tej rubryce. Pani Jadwiga Kucharska prawidłowo rozpoznała nieistniejące już kamienice przy ul. Bohaterów Getta Warszawskiego (Echo z lipca b.r.) a Pan Przemysław Markiewicz poprawnie zlokalizował w Rynku dworzec autobusowy z lat 60. XX w. (Echo z czerwca b.r.) Zgodnie z tradycją nagrodziliśmy w/w osoby wydawnictwami TMZZ.

Roman Gorzkowski

Tym razem prezentujemy Państwu zdjęcie z archiwum danego złotoryjanina Mieczysława Przymuszały. Fotografia przedstawia odległe lata i ważne wydarzenie z życia mieszkańców miasta. Pytanie brzmi, gdzie została zrobione to zdjęcie i jaką uroczystość przedstawia? Ponadto, jak zwykle, prosimy osoby, które pamiętając uwiecznione na fotografii zdarzenie, mogłyby ożywić obraz swoją opowieścią. *(IP)*

GALERIA SPONSORÓW

Lena
Wilków Spółka z o.o.

PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl, lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480, fax. +48 76 8783 212

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne
BAZALT
"Bazalt" SA w Wilkowie

VITBIS

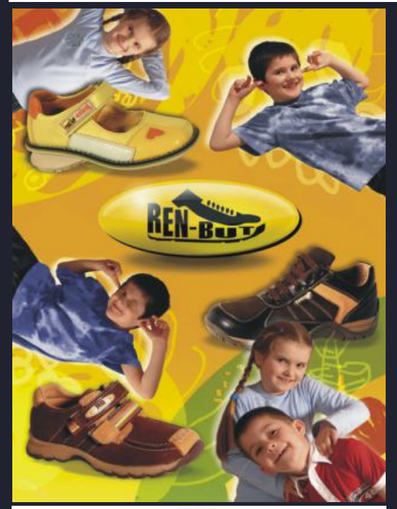

KOSD
WILKÓW
Kopalnie Odkrywkowe
Surowców Drogowych
Sp. z o.o. w Wilkowie

KOPALNIE SUROWCÓW SKALNYCH S.A.
KSS S.A.
ZŁOTORYJA

INŻYNIERIA
INKOBUD
ZŁOTORYJA
Włodzimierz Kowalczyk
www.inkobud.pl
e-mail: inkobud@pro.onet.pl

LASY PAŃSTWOWE
NADLEŚNICTWO
ZŁOTORYJA

grysy bazaltowe
▪ płukane
▪ kolorowe
▪ posypki
▪ mączki
STONESPOL
PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023